

UMCS
LUBLIN

czas. 2552/1978/7



**Ostatnia strona:
Horoskopy peruwiańskie
Ogłoszenia towarzyskie
Informacje z pierwszej ręki**

**„Szylem ilagę
na zaślubiny
Polski
z morzem...”**
Miroslaw Derecki str. 3

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kammena

LUBLIN 2 IV 1978 Nr 7 (649)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Z czym na zjazd literatów?

Henryk Pajk

Od 1945 roku było już 19 zjazdów Związku Literatów Polskich i nie się nie stało. Oczywiście nie licząc tego, co w tym czasie stało się w literaturze polskiej. Krzepiąca to dychotomia: obradując, zawsze w końcu coś tam można stworzyć, lecz tworząc, niekoniecznie trzeba wdawać się w obrady.

WKATOWICKIM zjeździe (7-8 kwietnia) każda dziesiątka posiadaczy legitymacji ZLP będzie miała swojego reprezentanta, swoją demokratycznie wybraną tubę. Pojedzie ich 128: każdy z pakietem spraw, jakie wyznaczono im na zebraniach wyborczych w oddziałach. Wystąpią z trybuny zjazdu, lub przekażą owe pakiety do komisji wniosków. Powrócą do oddziałów w przekonaniu, że komisja wnikliwie rozpatrzy ich wnioski, postulaty, sądy, osady, propozycje, z których spora część powróci na trybunę kolejnego — XXI zjazdu Związku Literatów Polskich. Sporo jest takich właśnie etatowych już spraw, wniosków, które lekko tylko modyfikowane temperamentami mówców, a także temperaturą czasu, stale powracają na zjazdach.

Jednak jawi się coś odmiennego, szczególnie uroczystego w perspektywie zbliżającego się obecnie XX zjazdu. Poza osobliwą kabałą liczby zjazdu, dość przecież okrągłej, pojawia się prosty, choć przyznać trzeba — podchwytliwy rachunek dat. W miarę upływu czasu każdy pisarz musi, choćby na chwilę, choćby tylko przed samym sobą, schylić czoła przed inwazją dat, jakże przecież znamienych w ubiegłym trzyleciu!

Wśród prawie tysiąca trzystu członków ZLP są i tacy, którzy uczestniczyli we wszystkich dziewiętnastu powojennych zjazdach. Byłem tylko na jednym — poznańskim. Jako jeden z dwóch delegatów

środowiska lubelskiego mam być na drugim — katowickim. Jerzy Putrament był właśnie na wszystkich.

— Dzień dobry kulię — powitał mnie niedawno w przerwie posiedzenia plenarnego ZG. — Co tam słychać w stołecznym Lublinie?

— Nic nowego — odparłem, ale po chwili dodałem żartobliwie — To znaczy... Chłifczycy nadal atakują...

Była to problemowa aluzja do czasów „Wesela”. Na co, jak zwykle, jowialny „Pucio” spokojnie odparł:

— Nic nowego, drogi kulię z Lublina, nic nowego...

A kiedy poszedł dalej, przypomniał mi się pasukudny kalambur ponoć tuwimowskiej proveniencji: — Szkoda peiperu i putramentu,

Tudzież papieru i atramentu.

Ciągłość biograficzna wydarzeń literackich, przeżyta w autopsji, w środku nich. Tego się nie uzupełni lekturami wydarzeń, to trzeba mieć — modne słowo — zakodowane w biografii. Dopiero wtedy pojawia się szansa na to, co nazwać można dystansem wobec nieuporządkowanych, kipiących jeszcze wydarzeń. W przeciwnym razie te najbliższe, w zasięgu ręki, z miejsca wydadzą się ósmym cudem

Dokończenie na str. 5

Ze wspomnień

LECHON

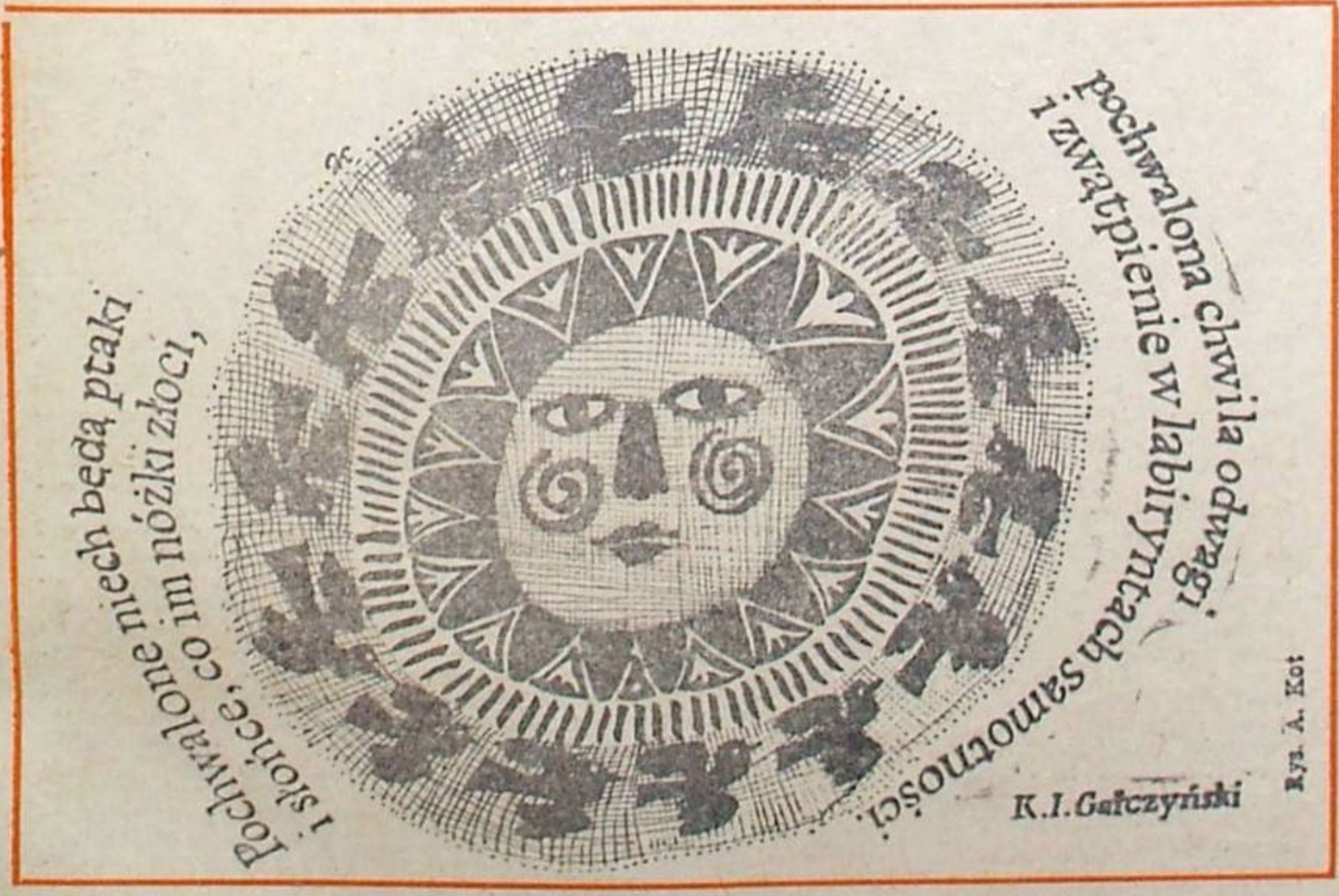
Witold Zechenter

WŁASCIWIE nie wiem dlaczego — ale w ostatnich tygodniach, nawet miesiącach, często myślę o Lechoni. Może przyczynił się do tego fakt, że sporo wspomnień ukazało się albo o nim właśnie, albo o jego czasach, o „Skamandrze”, nawet cała księga Stradeckiego, recenzje z niej — a wśród nich wymowna recenzja Iwaszkiewicza w „Życiu Warszawy”. Czy to było powodem, czy listy Lechonia, opublikowane w jednym z czasopism, nie wiem — ale dość upożytywie i właściwie w sposób przykry wraca wspomnienie o Lechoni, pocie młodych lat, pocie wręcz ubóstwianym — a potem poznanym niesympatycznym człowiekiem, absolutnie nie przystającym do wizji, jaką można było sobie wytworzyć o autorze „Karmazynowego poematu”, a zwłaszcza „Srebrnych i czarnych”.

I z niezwykłą natarczywością powraca, jakże smutne, pytanie: a może to była moja wina, że był antypatyczny dla mnie? Może trzeba było coś przełamać, jakoś próbować — i może wytworzyłaby się znajomość bliższa, jakże na pewno ciekawa, jak wzruszająca byłaby dziś, po latach, wracając w innym wspomnieniu niż to jakie mam z tych kilku spotkań z ukochanym ongiś poetą. Więc może to we mnie tkwiła wina?

Ale zacząć od początku. A na początku to były owe lata młodości, bardzo młodej młodości w gimnazjalnym mundurku, gdy nie książki szkolne i zeszyty, ale tomiki Skamandrytów były moją nieodłączną lekturą. Umiałem na pamięć niewiarygodną ilość wierszy Tuwima, Wierzyńskiego, Słonimskiego, Iwaszkiewicza („Ja rosłem i rosło moje imię Jarosław” — jakże zazdrościłem mu tego poetyckiego imienia!), Leśmiana, oczywiście też Staffa, który był ponad wszystko — i Lechonia. Cały „Karmazynowy poemat” umiałem i mówiłem przy różnych okazjach, na koleżeńskich spotkaniach, na „prywatkach”, które wtedy — co za czasy! — polegały właśnie na komponowaniu, improwizowaniu programu artystycznego; ktoś grał na fortepianie, ktoś śpiewał, ktoś deklamował... Ja mówiłem wiersze Jana Lechonia o Mechnackim, co jak trup błady siadł przy klawikordzie, o czarnej Rachel, która w czerwonym idzie szalu drżąca i galezie chojny potraça idąca... Aż przyszła jesień 1924 roku i ukazały się „Srebrne i czarne”, tomik jakże pięknie wydany przez „Ignis”, w niebieskiej okładce, a na niej srebrna róża i dwa srebrne pączki na tle granatowych liści — rysunek Edwarda Bartłomiejszaka i zaraz pierwsze słowa: „Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczg główną? Miłość i śmierć...”

Dokończenie na str. 10



z notatnika

Marek Adam Jaworski

18.III. Nigdy nie byłem mocny w problematyce rolniczej, do czego zawsze szczerze się przyznawałem, ale to wcale nie stało na przeszkodzie w objęciu przeze mnie lat temu bodaj dwadzieścia pięć funkcji kierownika działu rolnego „Sztandaru Ludu”.

Ow krótki okres mego życia wspominać z rozrewnieniem, może i dlatego, że byłem o ćwierć wieku młodszy. Nie takie cuda wówczas się zdarzały: każdy, kto odróżniał żyto od pszenicy, kto umiał kilka stron maszynopisu zapisać w miarę poprawną i sensowną polszczyznę, mógł z powodzeniem piastować to „stanowisko”. To jednak dygresja. W problematyce rolniczej jeden jest mocny, a drugi nie, jeden się nią interesuje bardziej, a drugi mniej, ale zarówno ten pierwszy, jak i ten drugi lubi jeść. A żeby jeść, trzeba najpierw kupić. A żeby kupić — trzeba wyprodukować, albo — co jest znacznie gorsze — zaimportować.

Właśnie wczoraj odbyło się w Warszawie kolejne „rolne” Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Oceniało ono realizację programu rozwoju rolnictwa wytyczonego przez XV Plenum KC z 1974 roku i ustaliło dalsze zadania w dziedzinie poprawy wyżywienia narodu. Dzisiejsza prasa poinformowała o przebiegu obrad, zamieszcila fragmenty dyskusji i przemówienie Edwarda Gierka.

Ostatnie dwa lata były szczególnie uciążliwe. Jak powiedział minister rolnictwa, Leon Kłonica, w stosunku do narodowych planów społeczno-gospodarczych lat 1976—77 zabrakło nam, w cenach stałych, 82 mld złotych produkcji globalnej. A Franciszek Kolbusz, przewodniczący Rady Banku Gospodarki Żywnościowej, oświadczył, że w 1977 r. tylko trzy województwa uzyskały plony zbóż powyżej 30 q z hektara. Podniesienie w całym kraju plonów do poziomu uzyskiwanego w województwach przodujących pozwoliłoby niemal całkowicie zlikwidować import zbóż i pszi.

Zawiniła pogoda, warunki klimatyczne były okropne, temu nikt nie zaprzeczy, ale na pewno nie wszędzie należycie wykorzystano wszelkie rezerwy. Trudno przewidzieć, jakie w tym roku dotkna nas kataklizmy. Nie mniej sprawą podstawową jest wykorzystanie możliwości produkcyjnych każdej wsi, każdego gospodarstwa. Mówił o tym Edward Gierka. Powinno się uczynić wszystko, aby każdy hektar ziemi dawał coraz wyższe plony. Należy wydatnie zwiększyć produkcję pszy, aby stopniowo osiągnąć samowystarczalność kraju pod tym

względem. Trzeba pogłębić przetwórstwo surowców rolnych. Niezbędny jest wreszcie wzrost efektywności gospodarowania środkami produkcji w rolnictwie i całej gospodarce żywnościowej. Sporo zadań stoi przed przemysłem, który wpływa na modernizację rolnictwa.

Nasza polityka rolna jest ustabilizowana, opiera się na trzech sektorach — państwowym, spółdzielczym i indywidualnym. Ten ostatni sektor poprzez kooperację, kontraktację, sieć handlu, przetwórstwo itp. włącza się w nurt gospodarki społecznej. Ale to wszystko wcale nie oznacza, że jest to proces łatwy.

Psychika ludzka zmienia się najtrudniej. Można ją zmieniać, choć nie przychodzi to łatwo. Przede wszystkim jednak należy właściwie przygotować nowe kadry, gdyż o wroździe produkcji, jak słusznie podkreślił na Plenum KC prof. Henryk Jasiorowski, będzie w największym stopniu decydowało przygotowanie zawodowe samych rolników, ale ogromne jest też znaczenie kadr z wykształceniem na poziomie technicznym i wyższym. Oznacza to konieczność zwiększenia naboru na studia rolnicze. Bilew nie wygrają sami szeregowcy. Tu też potrzebni są oficerowie i podoficerowie...

19.III. WSS Spolem znów urządziło kiermasz przedświątecznych wyrobów. W „Regionalnej” przegląd różnych wymyślnych słodkości, a w „Europie” — garmażerka. Wszystko to pięknie wyeksponowane, przygotowane jak do konkursu. Nie powołano jednak żadnego jury. I dobrze, bo wybór byłby trudny. Mamy naprawdę znakomitych mistrzów, choć na co dzień zapewne nie zawsze ujawniają oni swoje umiejętności. Gonitwa za planem i tysiące, tyśiące trudności tzw. obiektywnych. Na przykład do lokalu trzeba zakupić nowe krzesła. Nie można jednak skompletować krzesła z jednakowym obiciem. Patrokatyczna w lokalu drugiej kategorii? A fel! Dajmy więc robić nowe obicia. Kto płaci? My wszyscy.

20.III. Biała Podlaska. Bronisław Maksymiuk, dyrektor Wydziału Kultury UW, mówi: „Przed dwoma laty „Kamena” zaprosiła dyrektorów od kultury czterech wschodnich województw. Przedstawili oni swoje plany, mówili, o tym, co zamierzają uczynić w najbliższym czasie. Spotkajmy się ponownie, skonfrontujmy nasze opinie, wymieńmy doświadczenia!” Dobry pomysł. Kupujemy na pniu!

21.III. Zamość. Rada Redakcyjna „Sztandaru Ludu”, do której ostatnio dookooptowano oficjalnie Lesława Gno-

ta z „Kuriera Lubelskiego” i mnie. Można więc powiedzieć, że w tej chwili jest to już rada prasy lubelskiej (bez pism zakładowych). Sądzę, że stanie się ona dobrym forum dyskusyjnym, że będą się ścierać poglądy, że nie będzie tu miejsca na prawienie sobie wzajemnych uprzejmości. Nie wyklucza to jednak możliwości ścierania się i na samych łamach, a z drugiej strony podejmowania wspólnych akcji w interesie ogólnospołecznym.

22.III. Lublin. Z inicjatywy lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich spotykają się przedstawiciele środowisk twórczych, by zaprzestować przeciwko planom wyprodukowania i wprowadzenia do arsenałów NATO bomby neutronowej. Nikt tu nie wygłasza sążnistych referatów, wprowadzenie do dyskusji Lesława Gnota zawiera wiele interesujących faktów. Napisałem „wprowadzenie do dyskusji”. Zle się wyraziłem, tu nie może być dyskusji, w tej sprawie, jakże bliskiej nam wszystkim, panuje pełna jednogłośnieść. Dalej jej wyraz podjęła rezolucja.

W odpowiedzi L. Gnotowi moje 3 grosze (dewizowe)

27.III. Są jednak sprawy bardziej już przyjemne o których można by podyskutować, zwłaszcza że czytelnicy lubią polemiki. L. Gnot w swoich świątecznych kurierowych „3 groszach” odpowiada „Kamieni”. Przynajmniej tak sugeruje nadtytuł. Jeśli felietonista jest jednocześnie redaktorem naczelnym popołudniówki, byłoby z mojej strony nietaktem pominąć ów tekst milczeniem.

Czytam więc i w miarę wglębiając się w lekturę widzę, że L. Gnot odpowiada głównie nie „Kamieni”, ale Andrzejowi Czarzkowskiemu, którego list ukazał się w poprzednim numerze naszego pisma. Każdy dziennikarz wie, lub powinien wiedzieć, że zamieszczenie przez redakcję jakiegokolwiek tekstu w rubryce „Listy” nie oznacza, iż musi ona popierać wyrażone w nim poglądy. W tym samym na przykład numerze wydrukowaliśmy w „Listach” wyjaśnienie dyrektora „Polmożbytu”. Czy to znaczy, że z tym wyjaśnieniem się zgadzamy? Ano, zajrzyjmy na 13 stronę bieżącego numeru „Kamienia”! I jeśli obecnie, po „3 groszach”, A. Czarzkowski uzna, że warto L. Gnotowi odpowiedzieć — lamy „Kamieny” stoją otworem.

Gnot contra Czarzkowski to dwa grosze autora felietonu, mnie interesuje jeden grosz, ten pierwszy. Ponieważ „Kamena” w przeciwieństwie do „Kuriera Lubelskiego” sprzedawana jest w całej Polsce, muszę rozpowszechnić pogląd mego adwersarza.

L. Gnot stwierdza więc na wstępie, że (cytuje): zwykle nie podejmujemy polemiki ze złośliwościami jakich nie szedzi nam przy różnych okazjach lubelska KAMENA. (Czy istnieje bydgoska „Kamena” albo paryska „Kamena”? Kulturalni ludzie wiedzą, gdzie wychodzi nasze pismo, a więc ową kropkę nad „i” też mogą traktować

Jako złośliwość, subtelna zresztą) Najczęściej bowiem są to uwagi marginesowe i blade, podtykowane nie tyle różnicą poważnych poglądów (sądzę, że jeśli chodzi o poważne poglądy panuje między „Kamena” a „Kurierem” pełna jednogłośnieść, o ile, oczywiście, za poważny problem będziemy uważać pryncypia polityczne naszego kraju czy sytuację w Rodezji), ile chęcią błysnięcia złośliwym dowcipem. Jeżeli bowiem ktoś czyni nam na przykład zarzut z faktu publikowania identycznego ze „Sztandarem Ludu” („Kurierem”) wbrew logice nie uznaje cudzośćłów) wywiadu z popularnym aktorem (tak rzecz się miała z Karolem Strasburgerem), a wie równocześnie (nie wiem — słowo honoru!), że materiał ten musiał z redakcji powędrować z tygodniowym wyprzedzeniem, oraz że w chwili druku drugiej gazety nie można już nic zmierzyć, to trudno wierzyć zarówno w dobrą wolę autora notatki i redaktora kwalifikującego materiał do druku.

Tak się złożyło, że w danej sprawie byłem i autorem i redaktorem (wyjątek, ale i to się zdarza) kwalifikującym materiał do druku, krytyka L. Gnota skierowana jest więc podwójnie pod moim adresem. Ano, brońmy się, autorze i redaktorze przed tą szarżą ulańską.

Znam nienowoczesną przeciw technikę Lubelskich Zakładów Graficznych, ale nie mieści mi się w głowie aby dziennik musiał dostarczać teksty do drukarni na tydzień przed ukazaniem się sobotniego (wówczas jest osiem stron, a o to tutaj chodzi) numeru. Niech L. Gnot opuści przynajmniej dwa dni, bo wiem równocześnie, że w sobotę i w niedzielę drukarnia nie będzie składać zapasowych stron, a zacznie je robić w poniedziałek, wtorek lub nawet w środę. (Rzecz do sprawdzenia na miejscu.)

Zalóżmy jednak, że harmonogram druku „Kuriera” jest rzeczywiście tak absurdalny, jak publicznie przyznaje to redaktor naczelny popołudniówki. Co jednak stoi na przeszkodzie, by sekretarz redakcji „Kuriera” przed wysłaniem agencyjnego materiału do drukarni (oba dzienniki lubelskie korzystają z tego samego biuletynu i otrzymują go w tym samym dniu) zatelefonował do swego odpowiednika w „Sztandare Ludu” i uzgodnił z nim, jak należy podzielić artykuły z biuletynu, aby obie gazety wzajemnie się nie dublowały? Od czego, do licha, mamy telefony? Czy i w tej drobnej — choć z uwagi na trudność papierowej wcale nie drobnej — sprawie trzeba zawierać specjalne porozumienie?

Konkluzja L. Gnota brzmi: Niektórzy bardzo lubią metodę, w myśl której jeżeli nie może być lepiej, niech chociaż będzie śmieszniej...

Żeby było lepiej, odpowiedzą „niektórzy”, zależy tylko od organizacji pracy (przynajmniej w konkretnym przypadku) redakcji. Co zaś do śmiechu... Nigdy go chyba nie było za wiele. Osobiście wolę nawet złośliwy dowcip niż żaden, zresztą na temat tego, co jest dowcipem, a co nie, możemy się z L. Gnotem nie zgodzić. Weźmy na przykład kurierowy „Telewizorek”, tzw. organ indywidualnego zakłócania pod nieodpowiedzialną redakcją pana Koziolka. Cytuję pierwszy tekstik ze świątecznego numeru: W tym roku święta wielkanocne upłynęły pod znakiem nowej sensacji. Redaktor naczelny Telewizorka, znany poszukiwacz amator, odnalazł w okolicach Kosminaka doskonale zachowane w warstwach ilastych jajko pterozaura. Obecnie trwają prace nad przekształceniem jajka w największą w świecie piosenkę.

Brzuch mnie boli od śmiechu!

Gdyby „Kamena” rzeczywiście chciałaby błysnąć złośliwym dowcipem, wzięłaby na tapetę chociażby ostatni konkurs „Kuriera” na temat Należczo-wa. Dopiero trzeba się nagłowić, aby odgadnąć, co oznacza liczby „10” i „24” w takich wyrazach jak np. „ZNK10MITA KAP124L”. Redakcja nigdzie nie zaznaczyła, że chodzi jej o konkurs dla dzieci, a chyba nie tylko one dziennik czytują (ja np. — niestety, niestety, nie dziecko — należę do wiernych czytelników i przysięgam, że będę jeszcze wierniejszy).

A swoją drogą, czy L. Gnot nie dostrzegł w „Polityce” na ostatniej stronie rubryki pod tytułem „Co z życia?” lubelski „Kurier” gościł tam dość często, a redakcja popołudniówki nie wnosi pretensji o złośliwość. Czyżby w obawie przed ripostą baranków (z uwagi na pogodność formułowania myśli) Passenta i Urbana?

Dobranoc. Ten tekst musi być za 10 godzin w drukarni, a za 36 godzin „Kamena” zeldzie z maszyny rotacyjnej. Za 42 godziny, a w najgorszym przypadku — za 60 godzin numer znajdzie się w kioskach. Umiejęć liczyć dokładnie,

Ślad na białym śniegu czyli cena pletw

W „Tygodniku Kulturalnym” (nr 13) Stanisław Harasimiuk („Ślad na białym śniegu”) pisze o głośnym (w Chełmie) samobójstwie ucznia II Liceum Ogólnokształcącego, Wiesława B. Na ten sam temat ukazał się kilka dni przedtem artykuł Zbigniewa Miazgi w „Sztandare Ludu” („Cena pletw”). Oba teksty są utrzymane w bardzo podobnej konwencji, można by posądzać, że wyszły spod pióra tego samego autora, albo że obaj dziennikarze zbierali materiał równocześnie.

Według Harasimiuka Krzysiek Krop mówi: „W zeszłym roku ja, Wiesiek i pięciu innych chłopaków graliśmy w nogę szkolną piłką do siatkówki, bo psor od wufu nie chciał nam dać futbolowej. Za to przywazył nas i musieliśmy odkupić nową piłkę siatkową o 120 złotych droższą. Starej nam zresztą nie oddał, sobie przywłaszczył”.

Według zaś Miazgi relacja Krzysztofa K. brzmi: „W ubiegłym roku graliśmy „w nogę” piłką siatkową, gdyż nauczyciel wł nie chciał nam dać piłki nożnej. A gdy to zauwazył, kazał nam odkupić nową piłkę, pozwalając sobie zachować tę starą. Musieliśmy kupić piłkę o 120 złotych droższą, gdyż innej nie było”.

Krzysiek Krop, jako Krzysiek, mówi „psor od wufu”, a jako Krzysztof — „nauczyciel wł”. To jednak drobniaczek. Ale jak jest właściwie z tą piłką? Przywłaszczył ją sobie „psor” czy też pozwolił ją (sobie — chłopcom?) zachować? Nie wygląda to zbyt klarownie.

Samobójstwa w polskich szkołach należą raczej do rzadkości. Moim zdaniem dyrektor liceum nie mógł spodziewać się, że jego ostre słowa po stwierdzeniu kradzieży pletw (pletwy — grosze, fakt, ale w tej szkole już wiele rzeczy w przeszłości zginęło!) doprowadzą do tak tragicznego finału. (Nasuwają się jednak pytania, czy rzeczywiście tylko te słowa pchnęły ucznia do samobójstwa? Na ten

temat mógłby się zapewne wypowiedzieć psycholog, znający więcej szczegółów z życia Wiesława B.). Nic więc dziwnego, że prokurator umorzył śledztwo. Zbigniew Miazga w rozmowie z prawnikiem i „szefującym wojewódzką oświatą” (chyba „szefującym wojewódzkiej oświacie” lub „kierującym wojewódzką oświatą” czyli kuratorem, prawda?) samą próbuje występować w roli oskarżyciela. Natomiast Stanisław Harasimiuk idzie jeszcze dalej, bo przytacza list anonimowego ucznia liceum, w którym czytamy: „Dyrektorowi po pogrzebie Wiesława humor dopisywał bodaj większy niż codziennie — gdy wszyscy mieli wstążki czarne na tarczach, on śmiał się (chyba z siebie) żartował”.

Pragnę zauważyć, że w moim odczuciu zacytowanie takiego listu to nie innego, jak z góry ustawianie sobie dyrektora do bicia! Dyrektora, który obecnie jest chory na serce. Dyrektora, który prowadził szkołę od 1951 roku. I — jak stwierdza kurator w rozmowie z Harasimiukiem — prowadził ją dobrze. A że był apodyktyczny! Kto jest bez winy itd. Obaj dziennikarze, którzy na ten temat piszą, wykazują podobną cechę charakteru. I chwilami odnoszę wrażenie, że w pogoni za sensacją tak dobierali cytaty, by z góry wydać wyrok skazujący na dyrektora. Skazujący go na pożarcie przez tzw. opinię publiczną.

Śmierć młodego, zdolnego człowieka jest rzeczą straszną, zwłaszcza taka śmierć, ale życia mu i tak nikt nie wróci. Czy nie lepiej by było zachować się ciszej nad tą trumną, zwłaszcza że — jak w innym miejscu słusznie zauważa Harasimiuk — „na najważniejsze pytanie dlaczego nigdy nie uda się znaleźć pełnej odpowiedzi.” Tym bardziej więc nie wolno potępiać żywych, drukując („Tygodnik Kulturalny”) obraźliwe słowa, jakie pod adresem dyrektora publicznie wypowiedział stryj Wiesława, St. Szuba. Stryj mógł się unieść przed uczniami, nie powód to jednak, by te epitety powielał drukiem. A oświadczenie „powiedziałem mu (dyrektorowi), że go zabiję” można już z całą pewnością podciągnąć pod odpowiedni paragraf Kodeksu Karnego.

„Szylem flagę na zaślubiny Polski z morzem...”

Mirosław Derecki

LATA leżą, wnuki rosną, życie się różnie układa a przyjaźń frontowa, proszę pana — nie rzuwajcie. Ile razy Mietek Dziedzic przyjeżdża z Milejowa do Lublina to nie ma wypadku żeby nie zaszedł do mnie na Hanki Sawickiej, do warsztatu, i nie zapytał: „No, jak tam, Władziu, wszystko po staremu?” Siadzie na krzeselku pod ścianą, ja na swojej maszynie hukoczę: czołwki się szycie do darszków kozaczków albo jaką starą kurtkę skórzaną ceruje — i rozmawiamy. Najczęściej rozmawiamy o wojnie, o Kołobrzegu, o marszu na Berlin. Bo wtedy się nasza przyjaźń awiażnia i wtedy jeden drugiego spod kuli ratował... Ja Mietkowi na przykład dwa razy życie zawdzięczam.

Właściwie to miałem być ślusarzem, a nie cholewkarzem. Tuż przed wojną dostałem pracę w Lubelskiej Wytwórni Samolotów, zaczęłam się uczyć zawodu u starego fachmana, majstra Frydeckiego. Potem, za okupacji, jakiś czas pracowałem w zakładzie ślusarskim przy ulicy Przemysłowej. Ale zaczęli Niemcy o uczniach ślusarskich przepytywać, co poniekąd przetrwał do fabryk w Reichu wywoził, pomyślałem: „może by się lepiej kolo jakiegoś mniej niebezpiecznego zawodu zakreślić?”. No i tak się złożyło, że rodzina miała znajomego szewca, Stanisława Niewiadomskiego, przy ulicy Kowalskiej i on mnie przyjął do terminu. To był duży zakład: dziesięciu szewców, dziesięciu czołwkarzy. Były nieźle zarobki, bo Niewiadomski robotę znał oraz głowę na karku posiadał. Tak że zamówienia płynęły jak woda. Poznałem jedną pannę, pracowała też jako cholewkarz w zakładach obuwicznych. Za okupacji żyło się szybko, w konkurencyjnym nie chodziłem. Ledwie mi stuknęło dwadzieścia jeden lat, już byliśmy po ślubie...

A Mietka, proszę pana, oczywiście jeszcze wtedy nie znałem, nie. Dopiero w wojsku, pod Warszawą, jak żeśmy w Wolf Karczewskiej stali... Tak sobie przypadliśmy od razu do gustu, do serca, bo ja z Lublina, a on też z Lubelszczyzny. Z Wozuczyna, więc prawie jak swój: „no, powiedz, trzymajmy się razem bracie, zawsze to my rodaki. Choć ja ze wsi a ty z miasta”.

Ale najpierw był, oczywiście, dla Lublina koniec wojny, a zaraz potem, w sierpniu 1944 r., pierwszy pobór do wojska. Zameldowałem się w RKU na Placu Wolności w szkole „Cwiczeniówce” — tam, gdzie teraz Wojewódzki Dom Kultury — i z całą gromadą znajomych chłopaków pomaszerałem do 3 pułku zapasowego 1 Armii, na Majdanek. A tam nas już witał pułkownik Ziarkowski dobrym słowem: że co jak co, ale on z nas zrobi w try miga żołnierzy. Brano wtedy jednocześnie cztery roczniki: od dwudziestego pierwszego do dwudziestego czwartego. Gdzie się człowiek ruszył — sami koledzy. Szybko nas rozniósł w różne strony. Większość chłopaków z Lublina poszła do 2 Armii. Tylko mała część pomaszerała we wrześniu pod Warszawę. Trafiliśmy do szkoły podoficerskiej. Jak kończyły się boje o stolicę, miałem już naszywkę kaprała.

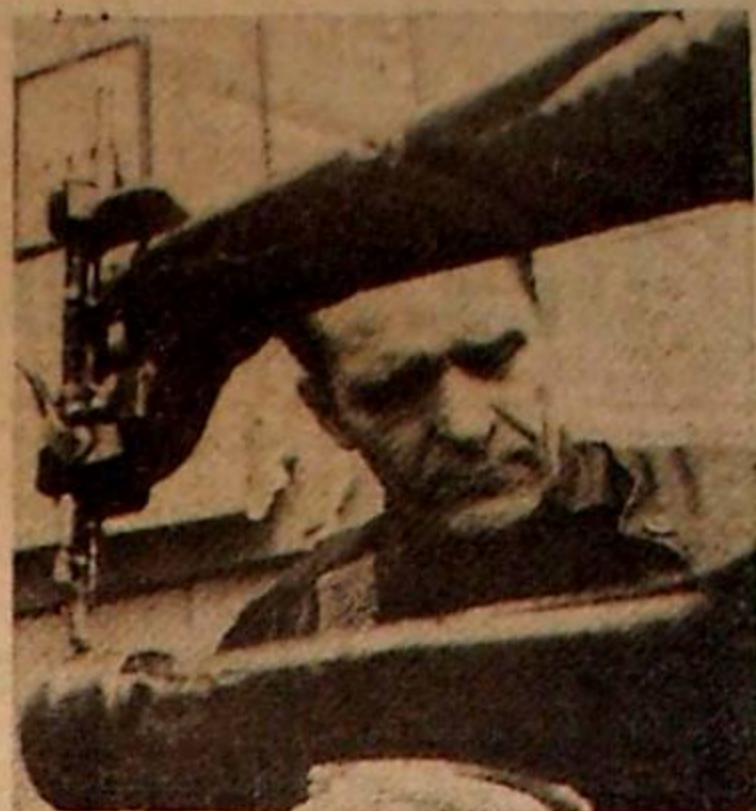
„Żeby tylko razem” — mówił Mietek. No i proszę, udało się. Jak przyjechaliśmy z 4 dywizji „kucpy” po żołnierzy, trafiliśmy z Mietkiem do 12 pułku piechoty. Trzeci batalion, ósma kompania, pierwszy pluton. Ja w tym plutonie zostałem dowódcą pierwszej drużyny.

Nasz pułk został sformowany jeszcze w kwietniu 1944 r., w rejonie Sum, dowódcą był pułkownik Dymitr Warionczyk. W przyszłości pułk miał otrzymać tytuł „Kołobrzesckiego”, zostać odznaczony krzyżem Virtuti Militari V klasy — za walki na Wale Pomorskim, udział w zdobywaniu Kołobrzegu i operacji berlińskiej. Do pułku dołączyliśmy gdzieś już pod Bydgoszczą...

Jak to się wtedy wszystko zmieniało, niczym w kalejdoskopie! W sierpniu czterdziestego czwartego byłem sobie jeszcze czeladnikiem u pana Niewiadomskiego, w styczniu następnego roku maszerowałem już z naszywkami kaprała, w lutym gwizdały mi kolo ucha kule na Wale Pomorskim, a w marcu... W marcu, proszę pana, ja, chłopak z Placu Bychawskiego w Lublinie, szylem już w Kołobrzegu biało-czerwoną flagę na zaślubiny Polski z morzem! Pierwszy raz to morze w życiu widziałem. Pierwszy raz wodę morską piłem i smakowała mi ona jak najlepsza woda ze źródła...

13 marca zawrócono nagle nasz pułk na zachód. Wstępnym na podstawie ciężarów: następnego dnia o świcie ockaliśmy się na zachodnich przedpolach Kołobrzegu. Od tygodnia 1 Armia toczyła ciężkie boje z Niemcami o zdobycie miasta. Były trzy linie obrony, a za nimi siedział dziesięć tysięcy żołnierzy. Mieli 169 dział, czołgi, działa pancernie, w obronie pomocne im były stare forty. Fakt, że Kołobrzeg jest strategicznie podmołymi terenami. Z południa uderzyła 8 dywizja piechoty, z południowego wschodu 3 dywizja. Ze wschodu nacierała 72 radziecka dywizja piechoty i to właśnie my, 4 dywizja 1 Armii pod dowództwem generała Kłentewicza, zrurowaliśmy 13 marca Rosjan z dwadzieścia siedemdziesiątej drugiej.

Do boju weszliśmy prosto z marszu. Przed nami rozciągały się rozległe, podmokłe tereny, było grzą-



Władysław Mielota *)

Fot. J. Trembecki

ko, biegło się ciężko. W odległości kilometra widać było pierwsze budynki, po prawej — zapamiętałem wysoką łęgę brzozy: potem dowiedziałem się, że okalały one Plac Wyciągowy.

Jak żołnierz biegnie do ataku, a z przodu wali się na niego lawina ognia, to myśli tylko o dwóch rzeczach: żeby jak najszybciej dobiec do celu i żeby mieć przy sobie kolegę, który go ubezpiecza. A w razie czego wyniesie na plecach. Więc kiedy tak leciałem przez to błoto, przez dym i kule, prując do niewidzialnego wroga z pepeszką, dziękowałem Bogu, że mam przy boku przyjaciela, Mietka Dziedzica, Rodaka z Lubelszczyzny. A on pewnie myślał to samo...

Sześć dni walk ulicznych... Nieraz staramy się z Mietkiem uporządkować jakoś w czasie tę kotłownię, i... nic nam nie wychodzi. Noc rozjarzona płomieniami palących się domów, dzień czarny od pływających ulicami dymów, walka o parpwozownie, o fabrykę... Te kamienie, w których kłębił się żołnierski przekładaniec: w piwnicach Niemcy, na parterze nasi, na pierwszym piętrze — znowu Niemcy... i znowu Polacy. Nieraz, kiedy sobie to przypomnę, zaczynają mi się ręce trząść, skóra cierpi. Był pan na filmie „Jarzębina czerwona”? Kiedy nasi chłopcy poszli na ekranie do ataku, kiedy zanurzyli się w te zięjące dymem i ogniem ulice, ja poczułem, że coś się ze mną niezwykłego dzieje, coś się takiego dzieje... Aż syn chwycił mnie za rękę, zaczął potrząsać: „tatusiu, co ty, co z tobą?” A ja mu na to: „bo widzisz, prawdę tutaj całą pokazali. Prawdę o nas i o Kołobrzegu”.

Pierwszy raz życie mi Mietek — w Kołobrzegu uratował. Wpadliśmy do korytarza, na parterze jakieś kamienicy — ja przodem, on mnie ubezpiecza. Skradam się ostrożnie, zaglądam w drzwi na lewo, nie widać nikogo. Dobra, idę dalej! Nagle słyszę, Mietek krzyczy: „Władek — z tyłu!” To ja się obracam jak fryga i... buch! swoim karabinem trafiam w karabin Niemca. Z tych drzwi, z lewa, wylazł. Chciał mnie bagnietem zatkać. A tu już Mietek doskoczył i przebił go z tyłu!... Nogi się pode mną zatrzęsły. Już żeśmy dalej nie poszli, wycofaliśmy się na ulicę... Jaka krótka chwila, a jaki strach! A jakie później z tego strachu wyczerpanie!

Potem pamiętam najlepiej początek dnia 18 marca. Raniusieńko, jeszcze było szaro na świecie, dobiegliśmy do mola. Najpierw zobaczyliśmy morze, później piaszczystą plażę. Po tym piachu gnałimy w kierunku latarni morskiej. Zapamiętałem na zawsze, że po lewej ręce miałem drewniany budynek na palach, pomalowany na niebiesko. Może jeszcze do dzisiaj stoi? Nieraz zastanawiam się, co to mogło być: skład jakiś, placowa garderoba czy coś takiego?

Wszystkie pułki, kto tam jeszcze miał siłę i nie był ranny, pchały się do portu, do mola. I każdy wskakiwał do wody, jeden drugiego do tej wody pchał, kotłowaliśmy się jak dzieci... Czapki poszły w górę, krzyczęć zaczęliśmy, walił w niebo z karabinów, z pepeszek, pistoletów — z czego kto miał. I piłimy wodę z morza.

A z naszej całej 8 kompanii doszło do morza tylko ośmiu. A z naszej pierwszej drużyny, pierwszej plutonu — tylko ja, Mietek i jeszcze jeden żołnierz.

Jakoś tak na trzeci dzień po zdobyciu miasta wezwał mnie porucznik i powiada: „Władek, z zawodu jesteś cholewkarz, uszyjesz nam flagi biało-czerwone. Na zaślubiny Polski z morzem. Będzie uroczystość i potrzebne są flagi”. Ja na to: „cholewkarz jestem, panie poruczniku, nie krawiec. W skórę robię, nie w materiale. No i maszyny nie mam”. „Mnie nie obchodzi materiał ani maszyna — powiada on — tylko mój rozkaz!” A w wojsku, proszę pana, rozkaz to jest rozkaz, nie ma dyskusji... Wziąłem Mietka Dziedzica i Stacha Wójcika — też chłopaka z Lubelszczyzny i wyprawiliśmy się na poszukiwania. W jednym małym parterowym domku, po zachodniej stronie Kanału Drzewnego, znalazłem maszynę do szycia. Chłopcy skombinowali czerwone i białe płótno... i, ma się rozumieć, flagi na termin były gotowe.

I niech pan pomyśli, nawet tych zaślubin nie widziałem. Bo mi akurat tego dnia wypadła służba wartownicza w zupełnie innej części miasta i zaślubiny Polski z morzem zobaczyłem dopiero w długi czas potem, w kronice filmowej.

Święta wietkanoone obchodziliśmy jeszcze w Kołobrzegu, przyjmując uzupełnienia. Wtedy przyszedł do naszej

kompanii podporucznik Stanisław Chimiak, Dobra chłop, Isowak — proszę go ostatek oficerskiej. Będę go zawsze pamiętał, bo umiał on być w marcu i na białym przycielem zwycięskiego żołnierza. I dlatego jeszcze, że nigdy nie zdążył się dowiedzieć, czy wyprzedził jego rozkaz. Ale to już było za Odrą, podczas operacji berlińskiej, za miastem Wriessen. Tam też Mietek Dziedzic po raz drugi życie mi uratował.

14 kwietnia 1 Armia przemasowała główny pas niemieckiej obrony i zajęła wschodni brzeg Starej Odry. Tego samego dnia 11 Armia radziecka opanowała miasto Wriessen leżące na lewym brzegu rzeki. Stąd wiodła droga przez Brunów, Bernau i Schöneweide — ku północnym krańcom Berlina. W dzień później nastąpiła 4 dywizja razem z 3 dywizją przystąpiły do wynoszenia masowu oskrzydającego.

Kilka kilometrów na zachód od miasta była kopalnia piasku; przed tą kopalnią rosły wysokie drzewa, zaraz za nimi były niemieckie tranzejce. Na drzewach siedziało dwóch niemieckich snajperów. Bili do nas jak do kaczek. Co który z chłopaków głowę podnieśli: buch! — już nie ma człowieka... A trzeba iść do przodu... Byłem dobrym strzelcem, zdobyłem nawet na Niemcach karabin z lunetką... Więc porucznik Chimiak krzyczy w pewnym momencie: „Władziu, ratuj! Bo nas wszystkich ten snajper wytnie!” I to były jego ostatnie słowa przed śmiercią. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem...

Kiwaliśmy na Mietka — my zawsze razem! Wziąłem jeszcze dwóch żołnierzy i skokami, zygając udła nam się przebiec przedpole. Niezauważeni znaleźliśmy się po lewej stronie drzew, na których siedzieli wyborowi strzelcy. Widzieliśmy ich jak na dłoni. „Mieciu — powiedziałem — liczę: raz, dwa, trzy. Na „trzy” — strzelamy”. I po tych „trzech” — obydwaj Niemcy spadli na ziemię.

Poderwała się nasza tyraliera. Niemców w tranzejce wybiłymi granatami. Tylko Stasio Chimiak tej chwili nie doczekał. Ostatni strzał snajpera trafił go w środek czoła, tuż pod okłapem hełmu, kiedy porucznik wysunął głowę żeby zobaczyć, czy dotarliśmy bezpiecznie do wyznaczonego miejsca...

Tego samego dnia przed wieczorem ruszyliśmy do ataku na kopalnię piasku. Dowódca 3 batalionu, major Pietrowski, biegł na czele, ja — zaraz za nim ze swoimi chłopakami.

Pociągnęli po nas z prawej strony serię z karabinu maszynowego; major zdolał przelecieć, mnie jakby batem przeciął po nogach...

I już wiedziałem, że to dla mnie koniec wojny. Tyraliera zaległa, Niemcy walili ze wszystkimi brońmi jaką mieli. Nie straciłem od razu przytomności, więc podarłem na sobie koszulę, skrzętem przewozoryczne opaski i podwiązałem sobie nimi nogi w udach. Żeby zatamować krwotok. Mignął mi przed oczami Marian „Marcynarz”, prosiłem: „zabierz mnie Marian z ognia, ratuj!” Marian krzyknął: „widzisz, jak strzelają? Nie teraz, nie teraz...” i już go nie było...

Ale zaraz podczołgał się do mnie Mietek. Nachylił się i zaczął mi przywiązywać nogi do karabinu. Żeby je unieruchomić. A ja leżałem, patrzyłem w górę, niebo już było ciemne i tylko co chwilę przelatywały po nim świetlane pociski. Niedaleko nas rozerwał się granat i jeden odłamek trafił Mietka w ramię. I krew z Mietka ramienia na mnie popłynęła... ale to było na szczęście lekkie trafienie.

Potem Mietek i niejaki Tadzio z Wileńszczyzny, oraz jeszcze jakiś chłopak z naszego plutonu położyli mnie na piaszczystą palatkę i zaczęli ciągnąć do tyłu. Ja już wtedy zacząłem tracić przytomność. I tylko tyle pamiętam, że Mietek nie chciał mnie zostawić na punkcie opatrunkowym, bo było bardzo dużo rannych i bał się, że zanim przyjdzie moja kolej, umrę z upływu krwi. Więc targał mnie na tej palatce cztery kilometry do miasta — jakiś czas jechałem na furmance — a kiedy ocknąłem się, leżałem już w piwnicy, w połowym szpitalu we Wriessen, a przy moim posłaniu siedział Mietek. „Mieciu — zapytałem — czy mam jeszcze nogi?” „Masz” — odpowiedział Mietek. Ale ja nie wierzyłem. Kazałem mu zdjąć koc; dopiero jak dotknąłem — dałem wiarę.

Był ze mną Mietek do końca, do momentu, kiedy zaladowali mnie razem z innymi rannymi na platformę Studebackera. I ja ruszyłem w stronę kraju, w drogę po szpitalach, a on pomaszerał na front.

Spotkaliśmy się ponownie dopiero w 1948 r. Wraciał do cywila. Pamiętał mój lubelski adres i wstąpił, żeby zobaczyć czy się jego stary przyjaciel z wojny przy życiu uchował. „No, jak tam Władziu, wszystko po staremu?” — zapytał. Doszedł z 4 dywizją aż do Łaby, potem walczył z bandami w Bieszczadach.

„A wielu jeszcze naszych chłopaków z kompanii z wojny wróciło?” — spytał Mietek. „A niewiele, bracie, niewiele nas wróciło. Jak byśmy mieli jechać z wojny a nie maszerować, to by nam dwie trzy furmanki wystarczyły...”

Mietek mieszka teraz w Milejowie, pracuje jako mechanik w wytwórni win i nie zdarzy się żeby mnie nie odwiedził jak jest w Lublinie. A Stacha Wójcika straciłszy z oczu; żyje gdzieś na ziemiach zachodnich. Ale myślę, że jak przychodzi koniec marca a potem nadciąga kwiecień to chociaż lat trzydziestu z górą minęło, Stacho przypomina sobie Kołobrzeg, nas z Mietkiem, i przypomina sobie też, że to my, trzej żołnierze z Lubelszczyzny, szyliliśmy w tamtym wypalonym mieście biało-czerwone flagi na zaślubiny Polski z morzem.

*) Władysław Mielota, kawaler Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, Krzyża Walecznych, odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony na polu szacownym” oraz licznymi innymi wojennymi odznaczeniami polskimi i radzieckimi. Posiadacz Honorowej Odznaki Rzeczypospolitej, odznaki Zasłużonego Pracownika Handlu i Usług, i in., działacz cechowy oraz społecny, aktywny członek LOK. Wychował i wykształcił dwoje dzieci: syn Tadeusz jest inżynierem budowlanym, córka Maria — nauczycielką. Od dwudziestu lat Władysław Mielota prowadzi — ku zadowoleniu klientów — warsztat cholewarski w podwórku kamienicy przy ul. Hanki Sawickiej 3, w Lublinie.

W kręgu przyjaciół

Ireneusz J. Kamiński

ANNA jest podniecająca, zarysowana bezbłędnie, oczy ma wielkie i bezwzględne jak pies andaluzyjski, powiedzmy, a po tym ucieka swoim ciałem gdzieś w białą przestrzeń, stając się tym samym nieuchwytną, prowokującą do podniecenia goniłwą za tym symbolem szczęścia, elegancji i sukcesu.

A obok tego rysunku siedzi pani Paulina Lemke, autorka niezliczonej liczby reklam i ekspozycji wielkiego domu towarowego z systemu Kaufhof, znanego w 100 takich obiektach, rozsiadanych po całej Republice Federalnej Niemiec i ciągle obleganych przez klientelę, choć właściwie nie wiadomo dlaczego, ponieważ oferują one tani standard, wartości ogólnodostępne, a więc mało wartościowe, co oczywiście wcale nie znaczy, że byle jakiej jakości. Wchodzisz z koszykiem, pakujesz weń na przykład dziesięć par rajstop w kolorze blue, ananasy, książki o Indianach i Hitlerze, dwieście gramów wykalcelek, pół litra (mdłej wódki), trzy koszule w „bokserki” — idziesz szczęśliwy do kasy, pilnie obserwowany przez zręcznie ukryte kamery telewizyjne, co tutaj jest normą, a na pewno nie powodem do historycznej deklamacji słowa demokracja. Odczuła to na własnej skórze pewna pani G., która po przyjeździe do RFN w ramach tzw. łączenia rodzin, po zainstalowaniu się w pracy biurowej, napyskowała od razu zwierzchnikowi z powodu ewidentnego nierobstwa swoich nowych koleżanek, niemieckich urzędniczek, za co — zorientowała się po pewnym czasie — umieszczono na ścianie, za jej pulchnymi plecami, malutki, absolutnie zminiaturyzowany aparatki podsłuchowy, tak doskonale, że bicie polskiego serca dokładnie rejestrujący. No i w końcu wyleciała z pracy. Demokracja demokracją, ale ordnung musi być, a podskakiwanie dozwala się tylko na babcie, lub na uniwersytecie, o wymyślenie mądrali i ludzi obdarzonych syndromem kz, czyli taką cechą psychologiczną, która odpycha otoczenie, skazuje na społeczny out. Tak przynajmniej określa się tutaj studentów wydziałów humanistycznych, którzy ciągle strajkują, demonstrują swoje niezadowolone z istniejącego porządku, chcą wyższych stypendiów, a może nawet czegoś zupełnie nowego, w kolorze, powiedzmy, czerwonym. Strajkują także matematycy, co już zupełnie w głowie się nie mieści, ale na pewno w tych dramatycznych zapasach nie biorą udziału prawnicy i medycy, ludzie przeznaczeni do czuwania nad homeostazą społeczno-polityczną — potomkowie Buddenbrocków.

Pani Paulina, w czarnych włosach wokół bladej twarzy, siedzi w pobliżu swojego rysunku, pięknie wyciągniętego nerwową kreską, której czasoprzestrzenne początki sięgają Krakowa sprzed kilkunastu lat, gdzie matka Henryka kończyła studia w Akademii Sztuk Pięknych. Zapowiadała się dobrze jako graficzka, ale pokretnie losy zniszczyły jej marzenia o twórczości autonomicznej, rzucając dawno temu właśnie tutaj, do bogatego Düsseldorfu, w mieszkaniu przy ulicy Höhenstrasse, którą samotnym kobieciom raczej nie warto chadzać nogą, albowiem eleganckie oprychy wyrwyfają damom torebki i inne elementy indywidualnego oprzędowania. Zresztą nie tylko na tej zacisznej uliczce, oddalonej od dworca kolejowego o 25 minut mocnego mar-

szu. Kraków, Polska... Na ścianie mieszkania pani Pauliny wisi orzeł biały, plemienno-totemiczny znak niezawisłości narodowej, w biblioteczkę stoją książki polskie o sztuce, a pani Paulina nie, tylko o kraju, o Zamojszczyźnie, gdzie się urodziła i uczyła w liceum plastycznym za czasów dyrekcji pani Rogiń-

skiej. No i o Lublinie, gdzie przez pewien czas chadzała na kursy pedagogiczne: wstęp do krakowskich studiów. Dobra to chyba uczelnia, skoro samotna Paulina taką sobie pozycję wyrobiła w pracy, że omijają ją wszelkie redukcje kadrowe, a podczas meczu Polska — RFN na ostatnich mistrzostwach świata Niemcy, koledzy po fachu, jakby nawet sprzyjali naszej drużynie, nie chcąc sprawić przykrości kobiecie, dramatycznie kibicującej Kaziowi, Grzesiowi czy Andrzejowi. Podejrzewam jednak, że respektowali przede wszystkim charakter niezwyklej Pauliny, której dom był miejscem spotkań co ciekawszych rodaków, goszczących w Düsseldorfie.

Jesteśmy nieco znużeni całodzienną wędrówką po tym mieście, nie pozba-

waszym kraju nie wolno chodzić do kościoła, poinformował gospodarz: wysoki, wąsаты mężczyzna po pięćdziesiątce.

Fascynująca postać, co na pewno potwierdziłby Henryk Kollat, nie raz przebywający w tym domu. Orth jest Niemcem czystej krwi, „którym ovladnęła polskość”, jak to kiedyś napisano w prasie. W latach sześćdziesiątych wydał trzy książki o naszym kraju, urządził ponad 300 wystaw o tematyce polskiej, wygłosił niemal 600 odczytów o sztuce, gospodarce i polskich sprawach społecznych, pierwszy — podczas zjazdu slawistów w Heidelbergu w 1965 roku. „Panie Orth, my nie chcemy pana słuchać”, kontrowała jego wystąpienia, zawsze życzliwe Polsce, prasa CDU.



Paulina Lemke



Hans Joachim Orth

wioną sytuacji kłopotliwych. Umówieni z Hansem Joachimem Orthem, publicystą niemieckim i kolekcjonerem polskiej sztuki ludowej, wsiadliśmy w taksówkę podając roslemu panu za kierownicą, że interesuje nas ulica Kamperweg. Jechaliśmy, jechaliśmy, aż pola nas ooczyły brunatne, i domki, i wille podrajejskie: krów doliczyłem się trzy sztuki. Na liczniku zaczęły pojawiać się cyferki dość niepokojące: 10, potem 15, potem 20 marek. Ale w końcu dojechaliśmy: na ulicę Kamperweg — ale nie tę! Okazało się, że w Düsseldorfie są dwie ulice o tej samej nazwie. Wróciliśmy: 30, następnie 40 marek spojrzaliśmy na nas z taksometru, a my — na siebie. I oto, proszę państwa, stała się rzecz dziwna: taksówkarz porozumiał się przez radiotelefon z centralą i po otrzymaniu zgody wyłączył licznik. „Nie można żerować na pomyłce klienta”, skomentował i dowiózł nas pod wskazany adres.

A tam, na trzecim bodaj piętrze niewielkiego bloku, dokładnie obrzuconego terazytem, zobaczyłem pejzaż polski, a może raczej młodopolski. W przedpokoju, w kuchni, w łazience, dwóch pokojach — wszędzie, utrudniając komunikację, stały, wisiały, domagały się uwagi: w drewnie rzeżane świątki, pastuchy, diabły, chłopcy i baby, malowane historie, krajobrazy, naiwne portrety, kwiaty drapieżne, wyprodukowane przez najwybitniejszych naszych twórców ludowych. „A tu są ikony, współczesne, co budzi zdziwienie niektórych moich rodaków, przekonanych, że w

„My chcemy pana słuchać, panie Orth”, odpowiadały gazety SPD.

Orth zna Polskę dobrze. Tylko w 1959 roku przejechał po naszym terytorium 5000 kilometrów i zrobił 500 fotografii, a rezultatem tej podróży okazała się książka „Z tej i tamtej strony Wisły”, zaopatrzona w podtytuł: „Klucz do dzisiejszej Polski”. Opublikowana w nakładzie 3000 egzemplarzy, została życzliwie potraktowana np. przez agencję DPA: jest to „dzieło przepojone rzeczowością i obiektywizmem”. W pięciotysięcznych nakładach ukazały się dwie kolejne pozycje, na które warto zwrócić szczególną uwagę: „Polska — partner jutra”, rzecz o naszej gospodarce i perspektywach współpracy między obu państwami, oraz „Polska bez tabu”, czyli kompendium podstawowej wiedzy o sprawach społeczno-politycznych naszego kraju, dewaluujące wiele fałszywych opinii o Polsce.

Orth, jak mogłem się zorientować w trakcie krótkiej, ale instryktywnej wizyty w jego mieszkaniu (z drewnianym, wielkim niedźwiedziem, stojącym na balkonie), czuje się dzisiaj pewnie. Już nie otrzymuje anonimów z pogroźkami, już nie musi uciekać — jak zdarzyło się po odczycie w Essen — przez piwnice, chroniąc się przed „aktywistami” organizacji przesiedleńczej. Człowiek prześladowany przez hitlerowców, należący do Vereinigung der Verfolgten des Naziregimes (Związku Ofiar Faszyzmu), założyciel związku zawodowego dziennikarzy, w Düsseldorfie wieloletni prezes organizacji, były członek

prezydium zarządu głównego owego związku — nie rezygnując z dotychczasowych form „wyjaśniania sprawy polskiej”, zajmuje się przede wszystkim naszą sztuką ludową. Kolekcja, którą dysponuje i stale wzbogaca, służy mu do urządzania okresowych wystaw — we własnym domu. Wysyła wtedy 700—800 zaproszeń imiennych do ludzi albo zainteresowanych polską kulturą albo po prostu liczących się w RFN. Na wezwanie Hansa Joachima i Krystyny Orth przybywa do domu przy ulicy Kamperweg przeciętnie 200 osób i okazuje się rzecz zdumiewająca: Niemcy z dziada pradziada, nagle, na widok tej kolorowej, naiwnej, ale potężnej urody próbują doszukiwać się w swoich biografjach rodowych śladów polskości! A są to obywatele absolutnie niemieccy, nie tacy, jak na przykład Hartmut B. Giersche z Duisburga, numizmatyk, bibliofil, który dobrze wie, że jego urodzony w Tucholi dziadek nazywał się zwyczajnie Gierszewski.

Więc pani Paulina jest po takim dniu znużona, ale na pewno mniej ode mnie. Zresztą, czy ja wiem, może bardziej, tylko udaje formę wobec człowieka z kraju, o którym ciągle myśli, do którego powraca wyobraźnią i wspomnieniami. Należąc od lat do Związku Polaków „Zgoda” w RFN, opracowuje stronę graficzną „Głosu Polskiego” i zamieszcza na jego łamach artykuły z życia Polonii. A język ma piękny, nie skazony germanizmami, pod tym względem jej publikacje są chyba najlepsze z tych, które zamieszcza ów periodyk. Oto fragment informacji pani Pauliny o koncercie orkiestry symfonicznej Polskiego Radia z udziałem Konstantego Kulki, który odbył się 17 listopada minionego roku w Düsseldorfie:

„Jego (Kulki — uw. aut.) opanowanie, swoboda gry i pewność siebie są urzekające. Można tylko bardzo żałować, że tutejsza Polonia tak mało interesuje się muzyką, że do przeszłości należą tradycje, kiedy kosze kwiatów wręczały związki polonijne swoim gościom z kraju”.

Albo taki tekst, dotyczący wystawy malarstwa Edmunda Łubowskiego z Poznania w galerii polskiej sztuki współczesnej „Depolma” w Düsseldorfie:

„Wchodzącego na salę uderza osobliwa atmosfera płócien, szokujący koloryt. Srebrzysto-złociste, wibrujące światła i cienie dalekich przestrzeni i rozległych płaszczyzn stoją w swej syntezie na pograniczu abstrakcji i realizmu”.

Przy okazji warto poinformować, że „Głos Polski” jest kontynuacją „Słowa Polskiego”, które zaczęło ukazywać się w Düsseldorfie w latach czterdziestych, a drukowane było w Bochum. Nosząc podtytuł „Tygodnik dla Polaków w Niemczech”, zamieszczało przede wszystkim wiadomości z kraju. Wpadł mi w ręce numer 32 z 1950 roku, w którym poza informacją o centralnych dożynkach w Lublinie, poza wierszem Mieczysława Jastruna „Współwodnik” z tomu „Zak urodzaju” znalazłem taki dowcip pt. „U lekarza”:

— Czy w nocy śpisz pan dobrze?

— Od dziesięciu lat nie zmrzyłem oka w noc.

— Fenomenalne! Nie rozumiem, jak pan może żyć.

— Jakoś się żyje. Jestem dozorcą nocnym.

A ponadto, w rubryce „ze świata”:

„Wśród ciężkich walk, trwających od tygodnia, armia ludowej Korei zwiększa coraz napór na miasto Taegon. Tymczasem rządy angielski i francuski zdecydowały się wysłać siły lądowe do południowej Korei”.

„Parlament Niemieckiej Republiki Demokratycznej na 18 posiedzeniu plenarnym w dniu 9 bm. (sierpnia — uw. aut.) jednomyślnie uchwalił ratyfikację układu w sprawie wytyczenia granicy polsko-niemieckiej, podpisanego w Zgorzelcu 6 lipca br.”.

Kiedy jedenaście lat później Hans Joachim Orth oddał do wydawnictwa „Econ” swoją pierwszą książkę, edytor usiłował zmienić w tekście nazwę „DDR” na „sowjetische Zone”.

Posiedziałem kilka godzin u pani Pauliny Lemke, poznając jej syna, Henryka Dechnika, studenta matematyki, człowieka młodego, lecz o osobowości tak wyrazistej, jak osobowość jego matki. Poznałem też panią Stefanę Krzyżanowską, urodzoną koło Mogilna, która od 1919 do 1939 roku prowadziła w Niemczech szkołę języka polskiego, w dobrym sensie konkurując z mężem — przez czterdzieści lat kierującą düsseldorfskim chórem „Polonia”. No i doszedłem do prostego wniosku, że w Republice Federalnej Niemiec żyją i działają Polacy.

świata. „Nie nowego, wszystko było” — bardzo są ostatnio potrzebni tacy, którzy powtórzą toż sam przekonaniem.

Zjazd poznanski dla mnie, debiutanta w tych osobliwych galopach, stał się dziwnym wydarzeniem. W pierwszym dniu nie było obrad, tylko spory proceduralno-statutowe. Potem nastąpiło odczytywanie manifestów, nie zawsze zresztą czytało literackich. Mieczysław Jastrun siedział z twarzą wyniosłą i znużoną, Bogdan Zaduboku, któremu urodziła się, czy też dopiero miała się urodzić córka, tkwił myślami w Puławach, a Jerzy Putrament ścisłał wylewnie każdą dłoń, co do której nie miał pewności, że go nie będzie do którejś Delegacji lubelskiej, podobnie jak inne, praktycznie cyzelowała pakiet lubelsko-krajowych postulatów w niezłomnym przekonaniu o swojej niebagatelnej misji: wszyscy byli z samych siebie piekielnie zadowoleni i piekielnie nieogodzeni z wszystkimi innymi.

Z czym na zjazd literatów?

W atmosferze bezprzykładnego ekлекtyzmu udało się wszakże ustalić pewne pryncypia, które teraz, po trzech latach, musi uszanować każdy sceptyk. Osiągnięcia trzylecia w samej tylko sferze społeczno-bytowej stały się niebagatelne: podwyższone emerytury i renty dla ludzi tego drugiego po najstarszym zawodzie świata, wyjście o kolejny krok do przodu z pozycji pederzanego, a w każdym razie wciąż niesprecyzowanego statusu ludzi bez zawodu, czyli jakichś tam literatów. Wyraźnie grubszy portfel stypendiów, zapomóg, wezasów, sanatoriów, ryczałtów pożyczek, wyjazdów zagranicznych; dom zasłużonego pisarza, willa w Konstancinie, rozbudowa Obór, no i jeszcze, rosnące wyraźnie, przeciętne honoraria za arkusz.

To wszystko się liczy, dyskontuje, to trzeba widzieć, dostrzegać na co dzień i od święta, obiektywizować w konkretnej sytuacji społeczno-gospodarczej minionego trzylecia, przecieć niełatwej; nie tylko w sferze złotych niełatwej.

Spora część tych spraw otrzymała swój impuls w Poznaniu, została rozwinięta w roboczej krzątaninie Zarządu Głównego, jego komisji, prezesów, posiedzeń plenarnych i przydziałnych. I to stanowi w sumie ten konkretny, choć przecieć nie bezpośredni, dorobek poprzedniego zjazdu pisarzy.

Prawdę ową godzi się przypomnieć, upomnieć o nią choćby dlatego, że mogą być tacy, co orzekną: spektakularna dialektyka inercji. Lub jeszcze gorzej: inercja dialektyki.

Półowe stanu liczbowego Związku Literatów Polskich od dawna anektuje Warszawa. Prowincjonalne obsesje co prawda zostały już dawno i definitywnie wygwizdane, ale faktem pozostaje, iż literacka Warszawa nadal nadaje ton, a jeśli gwizdzie, instynktownie oczekuje tego samego od terenu. Z ludowego realizmu wiedzie się porzekadło: „nie pchaj się boso tam, gdzie kuja konie”. Na tym czy innym koniu można zjechać tu czy tam, lecz nie na tym polega hippika życia literackiego, żeby kuć osobiście.

Lepiej rozejrzmy się po własnym podwórzu.

Jest rozległe: obejmuje cztery województwa — lubelskie, zamojskie, chełmskie, białopodlaskie. Aż 21 z 25 członków lubelskiego oddziału ZLP mieszka w Lublinie. Zjawisko koncentracji ludzi pióra w wielkich aglomeracjach, zwłaszcza w Warszawie, jest tak intensywnie narastające, iż ostatnio, w projekcie nowelizowanego regulaminu Funduszu Autorskiego, pojawiła się propozycja, aby tym pisarzom, którzy heroicznie zdecydowali się zamieszkać w miastach poniżej 100 tys. mieszkańców, lub zgola w osadach — fundować mieszkanie. Coś niebywalego! Grozi wędrówką ludów!

Reforma administracji nie „dotknęła” struktury organizacyjnej Związku Literatów Polskich. Tak więc oddział lubelski sprawuje „rząd dusz” na dawnym, niezmiennym obszarze.

Jaki tam rząd dusz! Nowe województwa zdradzają swoje naturalne odruchy odśrodkowe w za-

kreśle roboty kulturalnej i nie tylko jej, chcą gospodarować samodzielnie. Przyprawione ostentacyjną samodzielnością stały się niektóre ich inicjatywy w tym zakresie. Biała Podlaska widzi tylko Warszawę, na boki nie rozgląda się wcale, choć np. w konkursie im. Józefa Czechowicza i im. Bolesława Prusa na najlepsze książki poetyckie i prozatorskie roku, któremu patronuje Lublin, w edycji 1976 roku w dziale poezji główną nagrodę otrzymał Ryszard Kornacki z Międzyrzecza Podlaskiego, po czym szybko został przyjęty do ZLP, oddział Lublin. Takich nobilitacji żadne z tych województw nie neguje, przeciwnie, chciałyby ich jak najwięcej, aż po dalekosieżne marzenia o stworzeniu własnego oddziału Związku Literatów Polskich. Chełm ma również swoje ambicje i jedyne tylko członka ZLP — Czesława Twardzika, choć stamtąd pochodzi kilku innych jeszcze członków lubelskiego oddziału. Cóż z tego, skoro każdy wcześniej czy później emigruje do Lublina.

Zamość, potężne rolniczo-wojewódzstwo, z zamożnym rolnikiem i z kiepsko prezentującą się robotą kulturalną właśnie w środowisku wiejskim, tym,

które takiej roboty wymaga najwięcej i jest najwdzięczniejszym odbiorcą. Nie ma ono na swoim terenie żadnego nobilitowanego członkostwem ZLP pisarza, a lokalną osobliwość jest właśnie brak zainteresowania takimi nobilitacjami. Kto by tam zresztą myślał o produkcji literatów, skoro każde wojewódzstwo całą swoją energię kieruje na produkcję zboża, mięsa, buraków. Literaci niech się produkują sami!

Wspomniany konkurs na najlepsze opublikowane w danym roku książki poetyckie i prozatorskie żyje z dobrowolnych datków wydziałów kultury, domów kultury, niekiedy, choć rzadziej — wojewódzkich rad związków zawodowych. Zenujące jest to dopraszanie się łaski, choć godzi się jeszcze przypomnieć, że każde z województw w dotychczasowych edycjach konkursu otrzymało swoje pierwsze nagrody, zarówno w dziedzinach prozatorskich jak i poetyckich. Zbliża się kolejna, dziewiąta już edycja konkursu. Właśnie redagujemy ugrzesznione pisma do mecenasów z prośbą o „ściepkę”. Proporcje koniec końców są takie że Lublin daje przeszło połowę funduszy na konkurs.

Integracyjna rola Lublina na terenie makroregionu w dziedzinie kultury powinna być czymś tak naturalnym, że nie powiem — przemożnym, jak Warszawy w stosunku do reszty kraju. Tego rodzaju problemy stają przed wszystkimi pozostałymi oddziałami ZLP. Poszukiwanie wspólnej, choć terytorialnie zróżnicowanej płaszczyzny porozumienia i współpracy, to chyba jeden z najpilniejszych tematów najwyższej statutowo debaty literatury polskiej, jaką jest nadchodzący zjazd. Trudno co prawda oczekiwać, aby tam właśnie znalazły się gotowe recepty...

Kolejny problem — dezintegracja sił i środków przeznaczanych na działalność kulturalną. Pisałem już kiedyś, że gdyby w pierwszej lepszej gminie pewnego dnia zgromadzić na rynku wszystkich ludzi etatowo i „resortowo” odpowiedzialnych za robotę kulturalną na wsi, w gminie, i kazać im przynieść ze sobą wszystkie pieniądze, jakie na ten cel rokrocznie otrzymują — wówczas zebrałyby się spory tłum ludzi i forsa, z której można by ołoczyć kulturę gminną ostentacyjnym przepychem.

Gdzie są ci ludzie, gdzie fundusze? Wszędzie. W urzędzie gminy, w marnowanych, nie wykorzystywanych funduszach gminnych spółdzielni, gminnych ośrodków kultury, w kółkach rolniczych, miejscowych zakładach pracy, organizacjach młodzieżowych, kołach gospodyń wiejskich, straży, bibliotekach.

A propos bibliotek: jest sakramentalną regułą, że mieszczą się one w najędźniejszych ruderach w gminie czy na wsi, w przydziałach węgla są na końcu naczelnikowej listy. To samo z klubami.

Kończąc temat inter — wojewódzki: oddział ZLP nie ma najmniejszych możliwości administracyjnej czy organizatorskiej załatwienia tej sprawy. Oddział to grupa kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi dotowanych przez Warszawę, z sekretarką na półetatcie i społecznym prezesem: ludźmi w

większości luźno związanych z Zarządem Oddziału, przeważnie piastujących konkretne stanowiska i wykonujących konkretne zawody. Pisanie dla owej większości to hobby, z którego nikt ich nie rozlicza, czego zresztą bardzo by nie lubili.

Srodowisko lubelskie jedzie na zjazd z konkretnymi osiągnięciami. W ciągu trzech lat oddział rozrósł się z 14 do 25 osób, zwiększył się wydatnie literacki dorobek każdego z pisarzy, w czym niemała edytorska zasługa Wydawnictwa Lubelskiego. Niewtajemniczonym w wymogi statutowe godzi się przypomnieć, iż członkiem ZLP można zostać po opublikowaniu dwóch pozycji wydawniczych o charakterze literackim, jeśli do tego zyskają akceptację artystyczną Komisji Kwalifikacyjnej przy ZG i zostaną zgłoszeni na zebraniu plenarnym ZG.

Przy oddziale istnieje aktywne Koło Młodych, zrzeszające kilkadziesiąt osób, z których kilkanaście stanowi i stanowić będzie naturalne zaplecze pokoleniowe środowiska literackiego. Coraz większa liczba członków Koła przechodzi zresztą do ZLP. Tak było z Ryszardem Kornackim, Januszem Kawalką, ostatnio z Waldemarem Michalskim, w najbliższych latach tak być powinno z kilkoma innymi młodymi pisarzami, z których najbliżsi nobilitacji wydają się być: Z. W. Fronczek, St. Lukowski, A. Rozenfeld, C. Listowski, P. Gemba, K. Makula, B. Wróblewski, S. Gaszyński, P. Grauman. Stabilizacja środowiskowa to kolejna prawidłowość: nie notowano w ostatnich latach przypadków emigracji z Lublina do innych (większych) środowisk, przeciwnie — Lublin przyciągnął kilku literatów. Trochę to sytuacja odmienna niż w lubelskim środowisku dziennikarskim, gdzie tylko człowiek powacha lepszego prochu, to już siedzi w Warszawie.

Wyklarowała się także sytuacja mieszkaniowa członków ZLP. Wszyscy już jako tako ulokowali się w swoich „M”. Naturalną, biograficznie zbyt jeszcze krótką koleją losu nie mają tak przejrzystej sytuacji bytowej, mieszkaniowej zwłaszcza, niektórzy z Koła Młodych. Jedno z mieszkań dla najbardziej potrzebującego członka zapewne zostanie sfinalizowane w roku bieżącym. Stypendia literackie dla dziewięciu najlepiej rozwijających się członków Koła zamykają się w roku bieżącym kwotą 220 tysięcy złotych. To sporo. Jako prezes oddziału i człek ciut od nich starszy mam do niektórych jedno tylko „ale”: zbyt lekką ręką rozstają się ze studiami, gdzieś tam na I czy II roku, bawią się w naciągane raezej, urlopy dziekańskie czy... żenią w wieku 20 lat. Wprawdzie dyplomami nie pisze się dzieł, ale „papierek” i konkretny zawód w garści mogą się kiedyś bardzo przydać. Co zaś do ożenek — jest w kole przykład budujący, pewien wiecznie młody żenił się kilka razy, ani razu skutecznie, a ostatnio nawet pięć przestał, co jeden z kumpłi skwifował z troską w głosie: stary, może ty byś jednak poszedł się przebadać?

Pomyślnie układa się współpraca oddziału z władzami politycznymi i administracyjnymi województwa lubelskiego. Przychylnie podchodzą do naszych inicjatyw, a zwłaszcza potrzeb, systematycznie interesują się naszymi sprawami bytowymi, twórczymi, pracą społeczno-kulturalną oddziału w samym Lublinie, jak również w placówkach kultury całego województwa.

Przed kilkoma tygodniami została powołana wspólna, połączona organizacja partyjna oddziału ZLP i „Kamery” bądź co bądź pisma oddziału Związku. Kilkunastoosobowa organizacja partyjna stanowić powinna jeszcze jedną płaszczyznę współpracy środowiska literackiego z „Kamerą”, współpracy dotychczas dość iluzorycznej, nie pozbawionej wzajemnych podjazdów. Zwiększy się także i umocni to, co można by nazywać partnerstwem społeczno-politycznym działania na linii — literaci i „Kamery” — władze polityczno-administracyjne województwa i miasta.

Podczas zebrania wyborczego delegatów na zjazd padło kilka propozycji, z którymi zapewne wystąpimy. Będą to propozycje z kręgu spraw bytowych, dojrzejące zresztą w skali krajowej. Rozrastające się liczebnie oddziały z coraz większym trudem mieszczą się w swoich rocznych budżetach, niezmiennych od wielu lat.

Czy nurt spraw społeczno-bytowych przeważać będzie w problematyce zjazdu? Czy problemy tworzywa literackiego, postaw twórczych, odpowiedzialności za rozwój i miejsce literatury polskiej w życiu narodu znajdą tam godną siebie oprawę?

Henryk Pajak
prezes oddziału ZLP.

Listy do kamery

**MIŁOŚĆ PRZECIWI
ŚMIERCI**

W r. 1939 miasteczko Frampola zostało dotknięte bombardowaniem i częściowo spalone, toteż ludność skupiała się ciasno w ociekających domach, których właściciele udzielali schronienia pogorzelnom. Szczególnie ciężka sytuacja wytworzyła się wśród ludności żydowskiej, która zamieszkiwała głównie w drewnianych, stoczonych obok siebie domkach. Szalejący pożar w miasteczku strawił je niemal doszczętnie, więc Żydzi uciekli się w ociekających murowanych domach, ży-

jąc nędźnie z uprawianego w dalszym ciągu rzemiosła i drobnego handlu.

Akcja wyniszczenia Żydów rozpoczęła się od zapędzenia ich na przymusowe roboty publiczne, bez względu na wiek i stan zdrowotny. Stopniowo jednak pęta przemocy się zaciskała, by w końcu przerodzić się w systematyczną likwidację całej ludności żydowskiej. W sposób niezwykle brutalny aresztowano całe rodziny i wywożono do obozów śmierci.

Rodzina Orlińskich po pożarze miasteczka i po utracie domu, który spłonął — znalazła schronienie u księdza na piebanii, korzystając jednak z ociekającego sklepu, jaki stanowił źródło jej utrzymania.

Tam właśnie, na strychu położonym nad sklepem, ukrył najstarszy ich syn młoda Żydówkę, z którą łączyło go trwałe uczucie, skrzętnie ukrywane przed rodziną i znajomymi.

Ile starań i troski wykaźał chłopiec, aby ocalić swoją ukochaną przed hitlerowcami; jak bardzo niebezpieczne i uciążliwe było to życie, gdy tylko nocą mogli się spotykać. Zakochany chłopiec pragnął przecieć zapewnić dziewczynie schronienie, o które w okupowanym kraju było niezwykle trudno.

Ta dramatyczna miłość dwojga młodych trwała kilka miesięcy. Ani najbliższa rodzina, ani też sąsiedzi o niczym nie wiedzieli, toteż w miasteczku jakby grom uderzył, gdy dowiedziano się o sekrecie młodego Orlińskiego. Tak skrzętnie ukrywaną tajemnicę

podpatrzył jakiś swolocz i doniósł władzom niemieckim.

Był piękny, słoneczny dzień — godzina 15 po południu, gdy przerażona Goldę wywieziono na rynek, aby dokonać egzekucji na dziewczynie, za to, że osmieliła się żyć wbrew rozkazom Hitlera.

Kiedy ustawiono ją na widok publiczny, aby ją śmiercią straszyć miasteczko, dał się słyszeć przeraźliwy krzyk, po czym jak szalony wpadł na rynek młody Orliński, odpychając żandarmów gotowych do oddania strzałów — i rzucił się w objęcia ukochanej, trzymając ją kurczowo i zasłaniając swoim ciałem.

Przerażenie i konsternacja widzów udzieliły się żandarmom. Niezwykła sytuacja dobrowolnej ofiary chłopca była szokująca dla wszystkich. Jeden z żandarmów próbował nawet oderwać chłopca od dziewczyny — może chcą go nawet w ten sposób uratować, lecz młodzi tak silnie spleli się uściskiem, że daremnie były próby rozłączenia ich. Oni już zdecydowali się na śmierć, nie pragnąc niczego od ocalałych ich o prawców. Po chwili daremnych perswazji i usiłowań ratowania chłopca — rozległa się śmiertelna salwa. Upadł oboje na bruk rynku tego miasteczka, w którym się urodził i wychował, w którym poznali miłość i cierpienie, i w którym nie chcą się rozłączać nawet w godzinie śmierci, zginęli razem.

Ta śmierć wstrząsnęła głęboko opinią spo-

łeczną mieszkańców Frampola. Opowiadano później, że żandarmi, dla których egzekucje na ludności żydowskiej były czymś powszechnym, z podziwem i żalem wspominali bohaterstwa młodego Polaka.

Po tych pamiętnych wydarzeniach pozostała legenda w małym miasteczku: o miłości, która zwyciężyła śmierć.

Janina Wąskowa
Lublin

„LECZNICTWO POTRZEBUJE LEKARZA?”

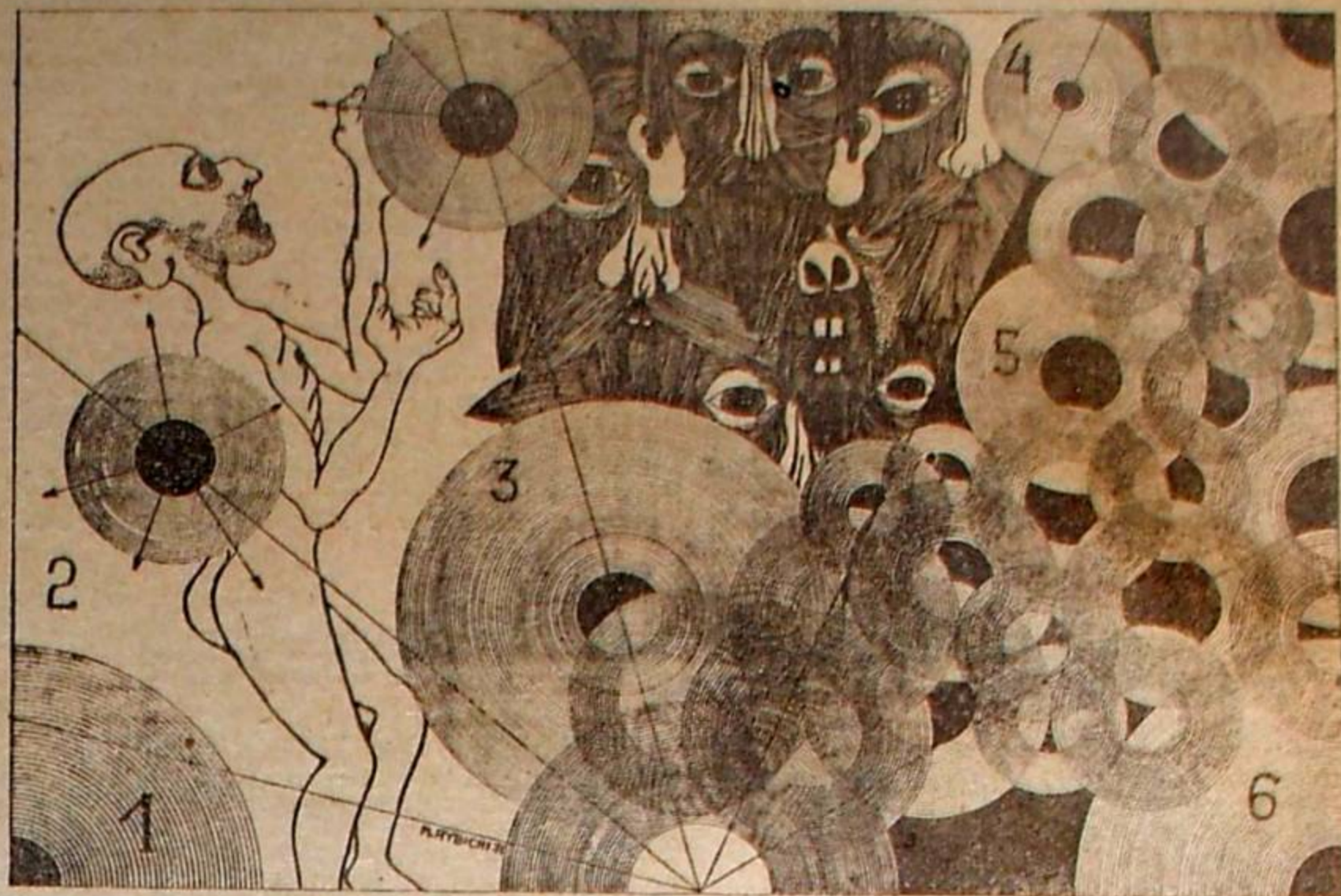
Artykuł na temat lubelskiego lecznictwa („Kamery” nr 3 z br.) A. Rozenfeld kończy stwierdzeniem: dobro chorego najwyższym prawem. Co do tego nikt nie ma najmniejszej wątpliwości. Ważne tylko, jakimś drogą do tego dojść i co zrobić, aby istotnie potrzebującemu pomocy choremu zapewnić wszystko, co jest konieczne, aby szybko wrócił do zdrowia. Swoje uwagi, la-

Dokończenie na str. 15

„Sześć dziwnych zgoła chwil”

(Ausz.)

Rysował: Mariusz Rybicki



BOHUN WE WŁODAWIE?

Bronisław Seniuk

HENRYK Sienkiewicz w „Ogniu i mieczem” stawia pułkownika wojsk księcia Jarosła — Jerzego Michała Wołodyjowskiego i pułkownika winnickiego Jerzego Iwana Bohuna naprzeciw siebie z dobytą bronią trzykrotnie. Pierwszy raz gdzieś na wschód od Jahorlika, niedaleko Raszkowa czy Baru, w podolskim chutorze. Epizod ten skwitował Zagłoba w okolicznościach dla siebie korzystnych następująco: „Tfu! moiści molojcie! białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce”. Opinia pana Zagłoby jak zwykle była dowcipna i nieprawdziwa. Chodziło wszakże w tym wypadku o sprowokowanie drugiego pojedynku z Wołodyjowskim i o tym za chwilę wspomnę tylko, że do trzeciego spotkania doszło pod legendarnym niemal Zbarażem.

Inspiracją moich przemyśleń jest znany mieszkańcom Włodawy przekaz, mówiący o tym, że drugi, przedstawiony najbardziej plastycznie pojedynek miał miejsce we Włodawie. Rozważania nad tym problemem, by były jasne i wyjaśniły go chociaż trochę, smuć trzeba na kilku płaszczyznach: literackiej — fikcyjnej; tę konfrontować z dokumentacją historyczną; jednocześnie trzeba mieć na uwadze, że na konkretny temat mówi miejscowa tradycja.

Idąc śladami bohaterów Trylogii pojedynek odbył się w Lipkowie, miejscowości leżącej mniej więcej w odległości jednego dnia drogi (wówczas) od Warszawy. Powieść wymienia prócz tego Babice, leżące obecnie tuż za rogatkami stolicy, oraz Zaborów, oddalony na zachód w kierunku Kampinosu. Bohun, zgodnie z wersją Sienkiewicza, miał wieść listy od Chmielnickiego do Jana Kazimierza przebywającego przed elekcją 1648 roku w Nieporęcie pod Warszawą. Rozpoznany przez Zagłobę stanął do pojedynku zakończony niemalże jego śmiercią.

W świetle powyższych faktów przekaz nie jest zgodny z treścią powieści.

Pewne wątpliwości mogłaby budzić trasa podróży Kozaka. Z Zadnieprza do Warszawy najprostszy szlak komunikacyjno-handlowy prowadził przez Kijów, Lwów, Chelm lub Tomaszów, Lublin i dalej ku Warszawie. Włodawa leżała na uboczu, ze światem łączyły ją drogi o ważnym znaczeniu, niemniej nie były to magistrale o charakterze międzynarodowym. Wobec tego nasuwały się pytania, czy Bohun mógł zbyć 1) dlatego? Na pytanie pierwsze można odpowiedzieć jednoznacznie — oczywiście, tak. Trudniej dać odpowiedź na pytanie drugie. Powodów znaleźć można wiele. Możliwe że dowódca kozacki zbył z trasy z przyczyn zupełnie przypadkowych, a może szukał ewentualnych sprzymierzeńców na ziemiach etnicznie polskich. Misje poselskie wiązały się najczęściej ze szpiegowskimi. Powiązania z Kozaczną były w tym czasie zjawiskiem nierecznym, wystarczy wspomnieć, że przywódca powstania w r. 1591 był podlaskim szlachcikiem Krzysztof Kosiński, a bliski współpracownik Chmielnickiego, Stanisław Michał Krzyczewski, pochodził z Krzyczewa nad Bugiem. O rzekomych czy też prawdziwych powiązaniach z wrogami Rzeczypospolitej kontrowersyjnego Aleksandra Kostki Napierskiego pisały siedemnastowieczne gazety, pamiętniki i opracowania historyczne. Przypuszczenia mieszczą się w granicach prawdopodobieństwa, ale bez dostatecznego uzasadnienia źródłowego pozostają tylko hipotezami.

Identyfikuje się natomiast z treścią powieści przekaz o leczeniu się Bohuna we Włodawie. O poście tym dowiadujemy się ex post. Akcja powieści toczyła się już daleko w przeszłości, bo aż w Zbarażu, i w czasie, bo epizod włodawski wyprzedził ją co najmniej o parę tygodni. Pobyt relacjonuje Rzędzian, pacholek Jana Skrzetuskiego, który niespodziewanie natknął się na kurującego się Zapo-

rożca. Po lipkowskim spotkaniu leczył się Bohun w którymś z mazowieckich dworców, podając się za podolskiego szlachcica. Poczuwszy się lepiej, ruszył na Podlasie, skąd zamierzał przedostać się na Wołyń do wojsk kozackich. Pogarszający się stan zdrowia zmusił go do zatrzymania się w mieście. Tak w ogólnym zarysie wygląda przebieg wydarzeń w powieści.

Spójrzmy teraz, jak te fakty przyjęły się i utrwały w świadomości mieszkańców, jak wielowiekowa czy wielopokoleniowa stratyfikacja mitów i przekazów prawdziwych tworzy w konsekwencji materiał, z którego wyluskać prawdę jest rzeczą niezmiernie trudną a legendy powleczone patyną czasu, czmychające wśród ciemnych zaułków „Czworoboku”, przyczajone między barokowymi kamieniczkami i świątyniami, pracy nie ułatwiają. Sugestie włodawian jako miejsce, w którym rzekomo Bohun miał być porąbany przez Wołodyjowskiego, wskazują „Czworobok”, unikalny w skali kraju zabytek architektury, zespół jatek i kramów wybudowanych po roku 1766. Wcześniej stały na rynku kramy drewniane, które spłonęły w roku 1648. Wobec tego kształty murów dzisiejszego „Czworoboku” nie mogły być świadkami pojedynku, ponieważ powstały ponad sto lat później. Koronnym natomiast dowodem ma być żelazna sztaba przymocowana do drzwi na dziedzińcu z wytłoczonymi inicjałami W. ST., inskrypcja BOCHUM i data 1906. Dowód to nie mający zapewne większego znaczenia, pochodzący z innej epoki, ale przyciąga oko i uwagę.

Nazorna kamieniczka z piętrem w szczybie, przy ulicy Świerczewskiego 2, wybudowana w połowie XIX wieku, miała być własnością mieszczanina wynajmującego kwatery Bohunowi. Wiek budynku w dialogu z badaczami starożytności włodawskich jest sprawą nieistotną. „Tutaj panie Bohun leżał. Leczył się. Wiem to na pewno. Książki nie mówią prawdy. Dom ten stoi coś z tysiąc lat, a może i więcej”. Wyobraźnia opowiadającego widzi walczące postacie, ich koncentrację i zdeterminowanie, lęk na twarzach gapiących się kobiet, chytre uśmiechy lyków; słychać szezęk oręża. Ogromna pasja i wiara. Spóźniony, ale jakże autentyczny świadek wydarzeń. Zastanawiam się czy warto i czy to jest możliwe pozbawiać kogoś złudzeń, do których tak mocno jest przywiązany? W momencie, gdy dojdzie do konfrontacji własnego obrazu z rzeczywistością, uzasadnioną często autorytetem nauki, argumenty tracą moc, pozostaje tylko osobiste przekonanie korzeniami często tkwiące w świecie dzieciństwa, świecie złudzeń. Ale kto wie, czy te przypuszczenia, mimo pozorów paradoksu, nie idą w którymś miejscu we właściwym kierunku? Odkrycia niejednokrotnie bywały dziełem intuicji i przypadku.

A jakie są ustalenia nauki historycznej w sprawach przeze mnie analizowanych?

Otóż Bohun rzeczywiście przebywał w Polsce, ale nie w tym czasie i nie w tym miejscu. Uczestniczył w poselstwie kozackim na dwór warszawski w roku 1649, po ugodzie zborowskiej. Wyruszył z Białej Cerkwi do Lwowa, przez Tomaszów, Zamość, Kazimierz, Warkę do Warszawy. Ponieważ nie zastał króla, udał się za nim do Krakowa, skąd Pogórze wrócił na Ukrainę. Historyk, specjalista z dziejów XVII wieku, podał dokładnie drogę poselstwa kozackiego.

Chcąc wprowadzić porządek do analizowanych zagadnień, usystematyzować je, jeszcze raz w skrócie rozważmy następujące warianty:

Czy supozycje miejscowych badaczy starożytności są zgodne z fabułą? Tak, jeśli rozpatrywać sekwencję z leczeniem Zaporozca. Nie, jeśli brać pod uwagę scenę pojedynku.

Czy powyższe supozycje są zgodne z realiami historycznymi? Przeprowadzona analiza dowiodła, że nie.

Czy fabuła pokrywa się z realiami historycznymi? Wyniki analizy w zasadzie dają odpowiedź negatywną. Iwan Bohun, postać historyczna, w roku 1648 we Włodawie leczyć się nie mógł, nie mógł również stawać na udeptanym placu z Jerzym Michałem Wołodyjowskim, ponieważ jest to postać literacka, a pierwowzorem małego rycerza jest Jerzy Wołodyjowski, stolnik przemyski, żyjący w latach 1620—1672. Żył w tym czasie na Podolu, i są na to dowody źródłowe, drobny szlachcic o imieniu Michał Wołodyjowski, ale nie on był prototypem literackim. Faktem jest natomiast udział Bohuna w poselstwie do króla polskiego. Czytelnik, szukający w Trylogii wiarygodności historycznej powinien pamiętać, że jest to tylko literacka transpozycja dobrze Henrykowi Sienkiewiczowi znanych siedemnastowiecznych źródeł.

Można zapytać, czy nauka historyczna powiedziała ostatnie słowo na ten temat? Chyba nie. Mimo strat poniesionych w czasie wojny i okupacji polki archiwalne sięgają tysiące kilometrów. W każdej chwili można dotrzeć do nieznanego wcześniej źródła, odszukać dokument, który z ogromną drobiazgowością przedstawia może interesujące nas czasy. Pogoń za źródłami można zorganizować. Ale istnieje też możliwość, że nigdy nie uda się zrekonstruować pełnego obrazu tamtych wydarzeń. Casus Włodawy jeszcze raz dowiódł, że Sienkiewicz nie porywał, a dosłownie wiodł za sobą swoich czytelników, a idealizowany przez niego z ogromnym talentem obraz XVII wieku ma dalszych kontynuatorów. Do wizji sienkiewiczowskiej dorabiana jest wizja lokalna, osobista, regionalna.

Wydarzenia nieco wcześniejsze niż te, o których pisałem, stworzyły, jeśli idzie o Włodawę problem, który nazwę „rodzeniem się miasta”. Źródła historyczne i literatura przedmiotu dość bałamutnie, zdaniem podekscytowanych miejscowym patriotyzmem obywateli Włodawy, podają datę lokacji miasta. Istotnie, publikowane prace podają różne daty. Nie będę wyliczał tych prac, bo nazbierałoby się ich niemało.

Z czego wynikają trudności w ustaleniu dokładnej daty lokacji miasta? Czy jest to вина historyka, czy źródła? A może niczyja? Trzeba pamiętać o jednym: miasta istniały wcześniej, niezależnie od tego, czy miały prawa miejskie, czy nie. Zorganizowane były najczęściej wg prawa polskiego. Od wieku XIII począwszy, miasta polskie wprowadzały zaczęły tzw. prawo magdeburskie. Proces lokacyjny finalizowany nadaniem przywileju i dokumentu lokacyjnego był wynikiem wytworzonych wcześniej przesłanek społeczno-ekonomicznych, przede wszystkim ogólnego ożywienia gospodarczego. Prawo magdeburskie z jednej strony istniejącej stan niejako sankcjonowało, z drugiej, swoją nowoczesnością, wpływało na dalszy rozwój. Nobilitacja miasta prawem magdeburskim polegała na nadaniu przez władzę przywileju lokacyjnego. Zezwolenie panującego określało sprawy najważniejsze o znaczeniu ogólnopolskim. Zobowiązania szczegółowe między właścicielem a obywatelami zawierał dokument lokacyjny wystawiony przez właściciela. W historiografii przyjęło się, że data nadania przywileju królewskiego jest równoznaczna z datą lokacji, czyli z narodzinami nowoczesnego organizmu miejskiego. Sprawa wygląda prosto, jeśli archiwum przywilej oryginalny, kopie, wpis przywileju do ksiąg grodzkich, czy Metryki Koronnej lub Litewskiej (rodzaj dzisiejszego Dziennika Ustaw) przechowały. Gorzej, jeśli nie ma ani oryginału, ani wpisu, ani odpisu. W przypadku Włodawy sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. Otóż Włodawa nie otrzymała przywileju królewskiego. Prawo magdeburskie przyjęła tylko na podstawie dokumentu właściciela — starosty włodzimierskiego, Andrzeja Sanguszkę. Niestety, nie zachował się również, a

OGRÓD 2 przedstawia się

Ogród 2 jest kolejną wersją grupy Ogród.

Skład: Seweryn Goszczyński
Roman Tytus Muszyński
Marek Pietrzela
Lech Lele Przychodzki
Longin Szparaga

Pod tą firmą występowaliśmy w grudniu 76 dwukrotnie w łódzkim klubie „Balbina”, w lutym i kwietniu 77 „Pod Jaszczurami”, a w sierpniu 77 na II Ogólnopolskim Plenerze Surrealistów Metafora 77. Od września 77 trwa nasza AKCJA REZERWAT — imprezy robione w plenerze, udokumentowane fotograficznie. Teksty są własnością grupy — wspólne firmowanie.

* * * * *

pod horyzontem
wiatr rozpedza się w huragan
rzadko tylko przeleci dżdżysty
nieoperz
myśl wtedy
rozciąga w uśmiechu usta

OKNA II

już nie ma
wiecznie skrzypiącej podłogi
wiecznego strachu okna
wiecznej wietrzności powietrza
zetłalego na mrozie
w ogryzek martwej natury
okna przepływają bez końca
liczą na nas

* * *

Poezja scalowuje błękit z nieba
nurza się w błocie patosu
wystrela w górę iglicą drwiny
a później pelza
nieśmiało glaszcząc serce
aż ten wór mięsny
stanie się zajęczkiem

44 GŁOSY W SUMIE

próba ogłupienia poetów poprzez
poezję, dyskusja, Jaszczury,
kwiecień 77

tyle że poetom nic to
nie mówi
i tak będą pisać jak czują
tylko zmęczenie wytrąca oczy
z orbit
a ręce niespokojniej trzymają
kartki
z notatkami
na razie jeszcze są młodzi
a nie będą
metafizyka hula wśród stolików
protekcjonalnie ustępując
miejsca
naiwności
dyskusja roztopia się
w szklankach złotej rosy
noc nad krakowem
też senna

Kamena str. 8

bo gazety i fotele zjadają ludzi
mówi dziecko: toniemy w
przestrzeni kosmicznej

to nie
człowiek od człowieka oddalony
o kilka lat świetlnych
może samotnie umierać w
wielotysięcznym tłumie

to nie
ostatni nasz krzyk
w czasie nieludzkim układów
scalonych
wyrasta pod lewym ramieniem

JESTEŚMY Z POWROTEM

Jesteśmy z powrotem
sytuacja liryczna
oplata miasto i wiemy już
że należymy nie tylko
do siebie
(trochę odejścia
nigdy nie zaszkodzi)
ktoś nas wpisał
w letnie koło słowca
jeszcze trochę powiadają
ludzie
i zostanie z nich
tylko blask
a przecież
jesteśmy z powrotem
zmęczeni i pełni
oczekiwania
poczekajcie mówią twarze
z ilumu
już nie
właśnie jesteśmy z powrotem

THE SONG OF RAIN

(fragment)
ta noc należy do
bluesa i do mnie
rogatki MIASTA przypominają
szarą rampę dworca
jednego z tych
rozrzuconych na rdzewiejącym
szlaku starych lokomotyw
jeszcze kilka godzin
do świtu
zanim podniosą się światła
ulic i ludzie przypomną sobie
o codziennych wyprawach
po mleko
ta noc należy do bluesa
i do mnie
zszyta z pamięci wszystkich
nocy
zanim podniosą się światła
w górze lustro rozsypane
na tysiące gwiazd

NAUKA - PRZEMYSŁ

SWIAT obecnie przypomina ser-
nik, z którego wydłubano ro-
dzynki w postaci bogatych złóż
minerałów, zawierających me-
tale i inne surowce. Co się dało wydo-
być i uzyskać prostymi sposobami, to
zasadniczo już wydobyto i uzyskano.
Teraz sięga się do złóż znacznie uboż-
szych lub trudno dostępnych.

Uboższe rudy jeszcze wczoraj byłyby
odpadem, dzisiaj są produktem wyją-
ciowym dla odzysku surowców. Ale że-
by ów odzysk stał się technologicznie
wykonalny i opłacalny na skalę prze-
mysłową, trzeba wpliwnąć ruderze, a
następnie wzbogacić, częściowo poz-
bawiając ją elementami zubożającymi i bez-
wartościowymi.

Proces rozdzielania i wzbogacania
rozdrobionej kopaliny nazywa się
flotacją, i jego dobrodziejstwa by-
ły już znane w starożytnym Babilonie,
gdzie niewiasty maczany w oleju
ptasimi piórami wybierały z piasku
drobiny złota.

Doc. dr hab. Jerzy Szczypa, kierow-
nik Zakładu Radiochemii i Zastosowań
Izotopów Instytutu Chemii UMCS, a
zarazem zastępca dyrektora Instytutu,
opowiada mi o ABC flotacji, której fi-
zykochemicznymi podstawami od lat
się zajmuje. To nie znaczy, że J. Szczy-
pa już jako dziecko czy młodzieniec pa-
sjonował się problemami flotacji, a
chociażby wybieraniem złota z piasku
przy pomocy piórka. „Człowiekiem, a
także odkryciem naukowym, rządzą
niekiedy przypadki” — powiada docent,
który przed laty jako maturzysta wy-
bierał się na biologię, a pozedł w koń-
cu na chemię.

Twierdzi, że struktura uniwersyte-
tów przed rokiem 1970 była archaiczna,
a możliwości mizerne. Istnieeli profeso-
rowie „na katedrach”, rodzaj feudal-
nych możnowładców; niżej asystenci
i adiunkci, którzy coś tam dlibali,
i jeśli wychodziło im — to dobrze; a jak
nie wychodziło — też dobrze, ponieważ
zarówno do jednego jak i drugiego nie
zawsze przykładano należyte znaczenie.

Ten układ został zmieniony, a pań-
stwo zaczęło poważnie inwestować w
naukę, żądając w zamian szybko spraw-
dzalnych efektów praktycznych. Ba-
dania zaczęto projektować i rozwijać
w rytmie pięcioletek, tak że podniosły
się nawet głosy w obronie niezawisłości
i cnotliwości dyscyplin podstawo-
wych, aczkolwiek w tym przełomie
chodziło przede wszystkim o ustano-
wienie rozsądnych proporcji.

J. Szczypa rozpoczął pracę nauko-
wą jeszcze w przestarzałych generalnie
układach, ale od początku trafił bar-
dzo dobrze, bo do profesora Andrzeja
Waksmundzkiego, który zawsze docen-
iał potrzebę nauki stosowanej, a po-
nadto nie utrudniał swoim ludzkiem ro-
boty, lecz pomagał, zaś do magistranta
Szczypy powiedział: „Będziesz się
zajmował flotacją”. I tak zostało do
dziś, że J. Szczypa zajmuje się flotacją,
ciężko blisko przemysłu: fosforytów ko-
panych w Annopolu (praca magister-
ska), siarki wydobywanej w Tarnobrzegu
(rozprawa habilitacyjna; doktorska
była bardziej teoretyczna).

A ostatnio, to znaczy od przeszło
dwu lat, doc. Szczypa pracuje nad
wzbogacaniem minerałów cynku, szcze-
gólnie — utlenionych. Na zlecenie In-
stytutu Metall Nieżelaznych w Gliwi-
cach, placówki Ministerstwa Hutnic-
stwa, która badania finansuje. Taki siar-
czek cynku na przykład, sfaleryt, nig-
dy nie jest czysty. Zawiera żelazo. W
zależności od procentu żelaza różnie się
flotuje i żeby się flotował, trzeba go
aktywować. Aktywuje się najlepiej
jonami miedzi.

To są badania fizykochemiczne, w
zasadzie już zamknięte. Instytut Meta-
ll Nieżelaznych zaproponował docento-
wi badania technologiczne z kolei,
ale docent wolałby je robić wspólnie z
przemysłem, i jest zgoda na to, choć
chwilowo sprawa organizacyjnie sta-
nęła.

Docent Szczypa rozumie, że cynk jest
gospodarce narodowej bardzo potrzeb-
ny i należy ten metal otrzymywać,
choćby się okazało, iż koszt produkcji
cynku przekracza wartość otrzymane-
go metalu (w złotówkach). Toteż kwe-
stia badań technologicznych nad wzo-
bacaniem utlenionych minerałów cyn-
ku musi ruszyć, ale docent nie ma
wpływu na to, a szkoda.

— My już wydłubiemy ziemię jak
ser, potrujemy te wszystkie rzeki, i nad
tym będzie się unosił zadowolony duch
docenta Szczypy, chemika? — powi-
dam.

— Ach, nie! Dlaczego? Przecież mój
pomysł działa na rzecz ochrony środo-
wiska, choć głównie daje oszczędności
kopalniom węgla.

Pomysł przyszedł jakby mimochod-
em, obok zasadniczych badań fizyko-
chemicznych nad flotacją. „Można
pracować całe życie niezwykle intensy-
wnie i pożytecznie w nauce i nie od-
kryć czegoś, co będzie bardzo konkre-
tne, momentalnie wprowadzone i dają-
ce realne efekty od zaraz” — usłysza-
łem od docenta Szczypy. Ale można też
inaczej, choć człowiek robi doświad-
czenia, skąd ma wiedzieć z góry, ja-
ki będzie ich rezultat!

Na zlecenie Instytutu Przeróbki Ko-
palin Politechniki Śląskiej doc. Szczy-
pa, wraz z podległym mu zespołem lu-
dzi, pracował nad zagadnieniem stabil-
ności

oko- liczce sztu- ki

„Spotkania

Z zabytkami”

DZIEKI znajomościom dostałem
jakieś azjwne czasopismo o
nazwie „Spotkania z zabytkami”.
Bismowane przez Minister-
stwo Kultury i Sztuki, Generalnego
Konservatora Zabytków oraz Ośrodek
Dokumentacji Zabytków. W jego podty-
tułowej widnieją słowa: „Informator po-
пулярnonaukowy”. Dziwne, ponieważ
ukazało się dopiero teraz, sześćnaście lat

po uchwaleniu przez Sejm ustawy o
ochronie zabytków, kilkudziesiąt — od
czasu, kiedy właśnie nowa Polska za-
brała się na serio do ochrony naszej
tradycji kulturowej i historycznej, wy-
dając na ten cel miliardy złotych.
Owszem, nie zawsze jesteśmy ukonten-
towani sposobami owej opieki, zyma-
my się na ciągnące się w nieskończoność
renowacje, restauracje czy rewalo-
ryzacje, eksponujemy w prasie skanda-
le, które czasami wybuchają w tym ob-
szarze (vide Sandomierz czy lubelskie
Stare Miasto), ale ostatecznie przyznać
musimy, że tyłoma zablęgam wokół
znaków tożsamości narodowej nie
chwali się chyba żadne państwo na
świecie. Mówi się, że Węgrzy robią to
lepiej i skuteczniej, że w Czechosłowacji
także te kwestie zostały racjonalnie uregulo-
wane, ale na Boga — oni prze-
cież, ci nasi przyjaciele, działają w zu-
pełnie innej sytuacji, z innej przecej
startowali, nie ponieśli tak ogromnych
zniszczeń i strat w majątku kulturo-
wym, co my!

I oto dopiero w lutym 1978 roku ukazu-
ją się „Spotkania z zabytkami”, pis-
mo przeznaczone dla najszerszych kre-
gów czytelników, rzekłbym — dla
opinii publicznej, tak żywo zaintereso-
wanej losami zabytków. Pismo, jeśli
tak można powiedzieć nie znajdujące
cyferki „1”, jest przy tym znakomicie
opracowane graficznie przez Bożenę
Jankowską, posiada dużo świetnych
zdjęć i równie wiele różnorodnych publi-
kacji. Słowem: dawno nie miałem oka-
zji, człowiek żłodziwy i brutalny, do ta-
kiego oto panegiryku. Nie moja wina,
a zasługa „Spotkań z zabytkami”, w
których każdy znajdzie coś interesują-
cego. Brzmi to jak frazes, ale prawda
jest oczywista. No bo tak: Maria Le-

ności układów wysoko zdypergowanych, czyli bardzo rozdzielonych (najprymitywniejszym przykładem takiego układu są ścięki mlejskie, aczkolwiek w badaniach docenta temat był ujęty teoretycznie). Szło tutaj — wiem, że ryzykują grube uproszczenie — o to, aby znaleźć warunki dla wytrącenia

sędnoczenia i powiedział: „Robota dać”.

Ostatecznie zbudowano w kopalni urządzenie, które potem określono jako służące „do ciągłego odwadniania w procesie hydromechanicznej i mechanicznej obróbki sflokulowanych mułów” i opatentowano. Zdaje się, że

podjęte. Oplaca się ten muł odważniać, ponieważ tym sposobem zyskuje się cenny surowiec energetyczny do spalania w elektrowniach. Do odwadniania służą mało wydajne i drogie np. filtry próżniowe; lub stawy osadowe, niszczące środowisko naturalne. Zresztą całości mułu tym sposobem się nie

now złoty, urządzenie docenta około 150 tysięcy i można je skonstruować w warsztatach naprawczych kopalni. Takie są relacje!

Urządzenie kazal minister opatentować w kilku „węglowych” krajach zachodnich. Polserwis przyjął na siebie skwizycję tej myśli technicznej, która powstała przy udziale naukowców UMCS i inżynierów z „Bolesława Śmiałego”.

Przedtem jeszcze zarządzono w kraju powszechne stosowanie metody doc. Szczypa. Zakupilo ją chyba dwadzieścia kilka kopalń, zastosowało kilka. Ostatecznie okazało się, że produkujemy niewystarczające ilości tak zwanego flokulanta, odpowiedniego dla procesu czyli odczynnika przyspieszającego klarowanie się cieczy i granulację. Ten odczynnik wytwarzają jedynie zakłady w Brzegu Dolnym nad Odrą, i która kopalnia się wcześniej zorientowała, ta ma! Inne nie mają.

Doc. Szczypa powiada, że jego pomysł może z powodzeniem służyć do odwadniania mułów w różnych odlewniach; ostatnio metodą zainteresowała się odlewnia Skoczów, potrzebny, nowoczesny zakład, pracujący na potrzeby Fiatu 126p. Ale potem cisza. I to są już sprawy, na które docent wpływu nie ma. „Pomysł zdał egzamin w praktyce, reszta nie zależy ode mnie” — powiada. I spokojnie wraca do badań nad fizykochemią flotacji oraz do zegiarstwa, któremu z upodobaniem się oddaje.

A jednak to był sukces. Praktycy powiedzieli docentowi, iż jego pomysł to jest to, czego oczekuje od nauki przemysł, aczkolwiek monopolisci z resortowego instytutu górnictwa mieli początkowo nieco inne zdanie (a więc jednak zadziałały i urażone ambicje!). W samym tylko „Bolesławie Śmiałym” metoda przyniosła w roku ubiegłym 14 milionów złotych czystego zysku.

Co zdecydowało o tym sukcesie? „Przemysł potrzebuje urządzeń prostych i to jest urządzenie proste. No i było trochę szczęścia. Ze to wychodziło wszystko od ręki, widać było efekty, ludzie się zapalili do tego. A po drugiej, ja spotkałem ludzi czysto, tych inżynierów z kopalni. Trzeba było zrobić, to zrobili. Całą dobę pracowali, to pracowali. W końcu telefon zadzwonił: Przyjeżdżaj, urządzenie działa! I mogliśmy pójść na wódkę” — bilansuje docent Szczypa.

Co decyduje o wynalazku? Wszystko. Mrówcza praca, studiowanie literatury, setki doświadczeń, myślenie analityczne, talent, jakaś predyspozycja, „szósty zmysł”, szczęścia trochę, przypadku trochę, no i jeśli się spotka tych paru porządných ludzi. Wszystko.

Maciej Podgórski

POMYSŁ ZA MILIONY

układu zdypergowanego ze stanu stabilności. To jedna rzecz.

Druga — znane było od dawna chemikom zjawisko flokulacji (nie mylić z flotacją, znaną jeszcze dawniej), czyli łączenia się drobnych cząsteczek mineralnych w większe skupiska pod wpływem określonych substancji (tak zwanych flokulantów).

I teraz doc. Szczypa powiada tak: Sama fizykochemia tych zjawisk to jest odrębna sprawa i dość dobrze znana, a w każdym razie coraz lepiej poznawana. Ale możliwość praktycznego zastosowania zjawisk to co innego. Cała rzecz polega na łączeniu faktów. I ja sobie pomyślałem, żeby te procesy połączyć, bo wtedy się powinno otrzymać aglomeraty, które można wziąć w rękę”.

Taki był pomysł i następnie przyszły śmiałe doświadczenia, które pod kierunkiem doc. Szczypa prowadzili: dr Jarosław Hruzewicz, mgr Władysław Janusz, mgr Ryszard Sprycha. „Pomysł był mój, lecz wykonanie i sprawdzenie nasze” — powiada docent.

Wpierw dopomógł Siarkopol, gdzie proces osadzania się i granulacji mułów (wapienia) pokazali w zwyczajnym słóiczku po grzybkach, a następnie otrzymali fundusze na urządzenie w skali półtechnicznej, które zdało egzamin.

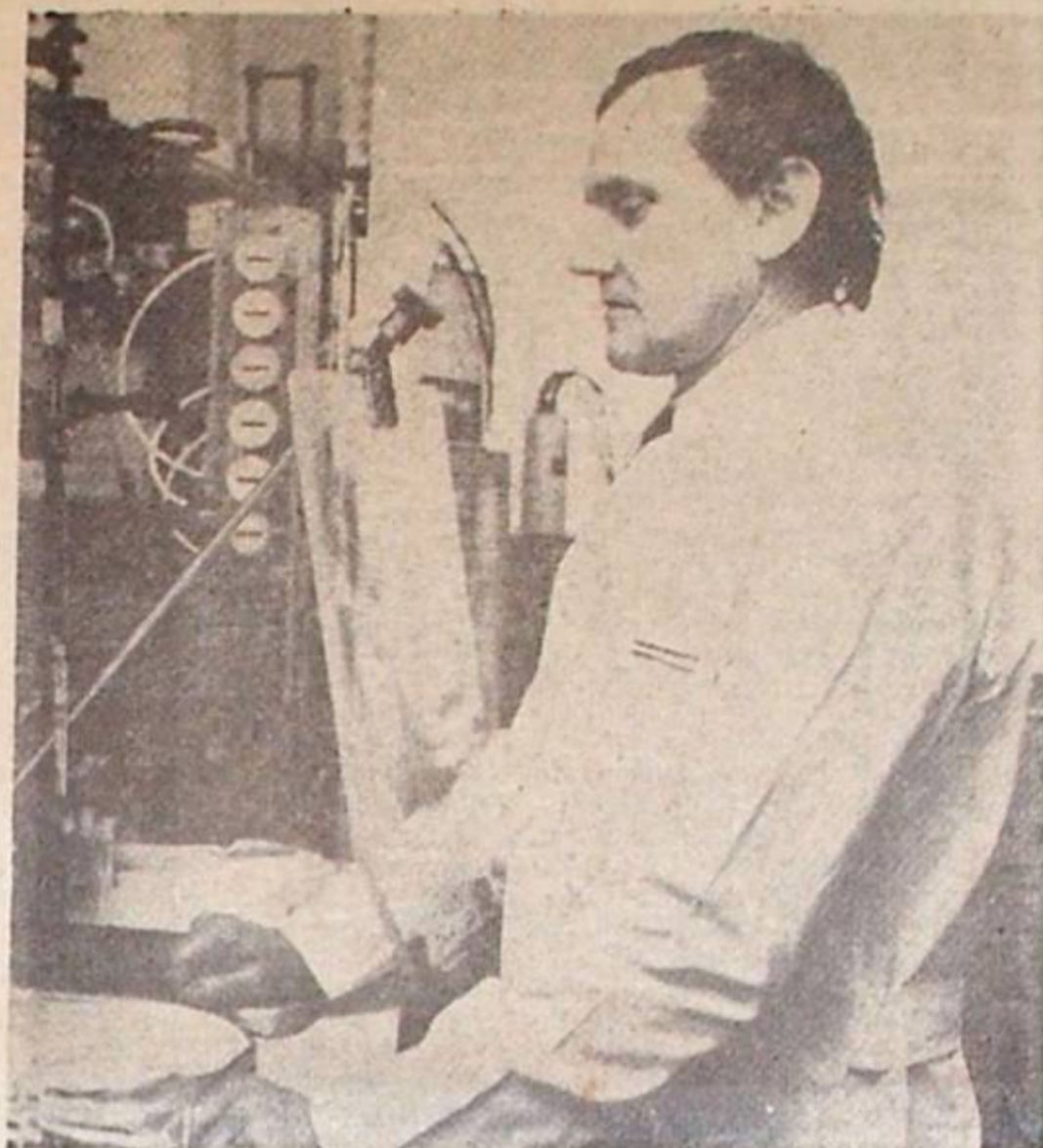
Potem przyszedł patent, a gdy o wynalazku przeczytali w biuletynie patentowym górnicy z kopalni „Bolesław Śmiały” w Łaziskach Górnych koło Mikołowa — zaczęli się prawdziwy ruch wokół sprawy, gdyż okazało się, że to jest problem nie dla siarki, lecz dla węgla przede wszystkim.

Do przedsięwzięcia włączyło się pięciu górników, magistrów inżynierów z „Bolesława Śmiałego”: Stanisław Frysz, Zbigniew Koszman, Jerzy Petaja, Zygmunt Skimina (dyrektor kopalni), Ludwik Spyra. Zaczęli u siebie próby półtechniczne na mułach węglowych, wychodziło. Przypadkowo się tym zainteresował jeden z dyrektorów

obeszło się bez urażonych ambicji. Umiano, że metoda należy do uniwersytetu; urządzenie służące stosowaniu metody — do kopalni i uniwersytetu.

odwodni, toteż część jest odprowadzana do starych wyrobisk kopalni.

Urządzenie oparte na pomysle doc. Szczypa, jest nadzwyczaj proste i tanie,



Doc. dr hab. Jerzy Szczypa

W każdym razie był to już drugi patent doc. Szczypa.

W procesie wodnego sortowania węgla w zakładzie przetwórczym kopalni powstaje przeciętnie 3 tysiące metrów sześciennych mułu węglowego na

pozwała zaś zagospodarować całość mułów wychodzących z kopalni, odzyskać wodę, która wraca do obiegu, oraz uniknąć zbiorników osadowych. Gdy na przykład prasa filtracyjna czy filtr próżniowy kosztują dziesiątki milio-

wicka definiuje pojęcie zabytku, Andrzej Bruszewski pisze o tak nam bliskich sprawach Kazimierza Dolnego (w którego muzeum czynna jest jeszcze wystawa lirycznych obrazów Stanisława Czajkowskiego), Włodzimierz Kotowski rozważa problem zabytków w kontekście płockiej petrochemii, Tomasz Jurasz wspomina co nieco o malarstwie z kręgu Bruegelów, Teresa Fabjańska-Zurawska przekonuje nas (skutecznie), że „Karety to też zabytki”, Józef Pilch kokietuje lokomotywami, a Mieczysław Kurzątkowski, Główny Specjalista Muzeum Wsi Lubelskiej, pisze tak:

„Gdyby pewien wojewódzki konserwator wpisał do rejestru zabytków Polskiego Fiata z lat międzywojennych, czy nie byłoby to afrontem dla szacownego sąsiedztwa malowideł, rzeźb i ołtarzy? Automobil w kształcie powozu lub karety bez koni, będący równieśnikiem secesji, nie zgorzszy dziś nikogo w sali muzealnej. Ale czy ma prawo do miana zabytku samochód, który opuścił fabrykę przed niespełna półwieczem i jeszcze przed dwudziestu laty wypełniał normalne zadania użytkowe?”

Kurzątkowski odpowiada na te pytania twierdząco, posługując się w swoich interesujących refleksjach przykładami takich firm samochodowych, jak czeska Tatra, czy francuski Citroën. Co zatem widzimy, proszę państwa? Widzimy nareszcie pierwszy polski magazyn poświęcony tym sprawom i rzeczom, które troszeczkę odeszły w przeszłość, ale ciągle nam towarzyszą, profilują kształt naszej wyobraźni, modelują sposób przeżywania świata, przywracają nam — tak dzisiaj często zagubionych w chaosie propozycji „na

dobrze życie” i bezforemnych — pięknej zrabawie w człowieczeństwo, która nigdy się nie rozwinie bez honorowania pewnych reguł, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Chciałoby się zatem powiedzieć: czytajcie „Spotkania z zabytkami”! Chciałoby się, ale nie można, albowiem czasopismo jest dostępne tylko w księgarniach, ewentualnie u edytora (Ośrodek Dokumentacji Zabytków, ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa), a poza tym nigdzie. Zatem rodzi się (!) pytanie, po co wydawać tak znakomity periodyk, redagowany co dla mnie zaskoczeniem, z autentycznym zmysłem dziennikarskim, jeśli nie trafia on, „popularnonaukowy”, do normalnej sieci kioskowej „Ruchu”? Takie pismo to nie jest kolejne pismo, to jest sprawa ważna dla naszej, polskiej, fantastycznej i brutalnej, subtelnej i prozaicznej — kultury. Kiedyś KTT w wywiadzie dla „ITD” zauważył, że jeśli cokolwiek możemy przebieć Zachód, to przede wszystkim kulturą. Która przecież nie rodzi się w próżni, na owym przysłowiowym kamieniu, lecz na tradycji, na tym, co wypracowali nasi ludzie w przeszłości, często dostając po pysku za to, co niektórzy uważają za dodatek luksusowy do życia, a co przecież, gdzieś tam, ostatecznie — jest życiem samym. No bo na przykład spróbuj, chłopie, spędzić dzień bez gazety, pogawędki, telewizji, ograniczając się tylko do jedzenia, picia, kochania (jeśli jeszcze możesz uprawiać te mile historie).

Tak czy inaczej, witamy „Spotkania z zabytkami” serdecznie. Po prostu serdecznie.

IJK

BOHUN WE WKODAWIE?

Dokończenie ze str. 6

ścisłej mówiąc, nie został dotychczas odnaleziony ten dokument. Stąd trudności w precyzyjnym podaniu daty lokacji. Na podstawie znanych dokumentów wiadomo, że w roku 1506 w mieście nie obowiązywały jeszcze prawa magdeburskie. Dokument inny mówi, że w roku 1534 miasto rzuciło się już prawem magdeburskim. W oparciu o te dane można twierdzić, że lokacja nastąpiła między rokiem 1507 a 1534. Ale czy to było w roku 1507, 1508, czy w którymkolwiek następnym, to trudno dzisiaj powiedzieć.

Nie jest to wypadek odosobniony. W analogicznej sytuacji jest niedaleka i wojewódzka Biała Podlaska, o której również wiadomo tylko, że prawa miejskie uzyskała przed rokiem 1522. Kiedy? — problem pozostaje otwarty. Myślę, że dokładne studia historyczne pozwoliłyby wyjaśnić wiele znaków zapytania.

Latopis Hipacki wymienia podobno Włodawę już pod rokiem 1241. Nie sprawdziłem tej wiadomości. Przypadkowo trafił do moich rąk dokument, który pod datą 21 lutego 1553 roku odnotował, że był tutaj zamek książęcy. Z tegoż roku, z dnia 19 marca, pochodzi rejestr zamku wyposażonego w stery długie, krótkie i szerokie, zwykłe i malowane, zapasy mięsa, kiełbasy, słoniny, serów dwadzieścia siedem, sześć stągwi kapusty, kadź ocórków, hakownic siedem, rusznic dziesięć, zapasy prochu i ołowiu.

Przyjmując rok 1534 jako datę lokacji Włodawy, wówczas w roku bieżącym miasto powinno obchodzić swoje 444 urodziny.

Niektóre publikacje, np. Acta Baltico-Slavica, w tomie 7 (str. 72) podają, że górna granica lokacji przypada na rok 1528. Zakładając wiarygodność tego faktu, w roku 1978 miasto liczyć będzie równe 450 lat.

Ładna i okrągła liczba. Liczby wróżą, jak widać, pogodnie i optymistycznie. Dalszy marsz kontynuować można z interesującym bagażem.

Bronisław Seniuk

Kamena str. 9

Ten tomik był dla mnie objawieniem, nie rozstawałem się z nim, czytałem wciąż te wiersze — potem już nie czytałem, bo je umiałem na pamięć, ale wzblianiałem je wzrokiem, odwracając stronę po stronie, jakbym chciał utrwalić już nie tylko słowa, ale wszystko, czym była ta książka, jej kształt graficzny, papier, na którym była wydrukowana, litery tytułów, inicjały pierwszych słów każdego wiersza...

Napisałem — wiersz pod tytułem „Janowi Lechoniowi” i w nawiasie: „Po przeczytaniu „Srebrnych i czarnych” — ukazał się w „Głosie Narodu” w numerze z daty 24 listopada 1924 roku. Odszukałem teraz w pozostawionej zszywce wklejony wycinek, też pozółkły i wstydę się tej nieporadności, tego biernego naśladownictwa wielkich strof mistrzowskiej poezji Lechonia: „To nic, że za mną płyną me kunsztowne mosty, wiem, że sam przepaść swoją i tęczę swą tworzę” — od takich słów się ten wiersz zaczął, a kończył zwrotką: „Niech nie pęka ten lancuch, co wleczę się za mną i bije chwile moje jako serca bicie: wiem już wiarą spokojną, ufnością nieklamną, że życiem swym śmierć tworzę, a śmiercią swą życie”. Tegoż dnia, gdy wiersz się ukazał, wpadł do redakcji Mieczysław Jastrun i jakby z wyrzutem rzekł: „A więc napisałeś...”

On nie napisał wtedy, choć we wcześniejszych naszych rozmowach objawiał taki zamiar. Nie wiem czy mój wiersz go zraził, czy były inne przyczyny. Niemniej dalej, jak przedtem, nasze wspólne mówienie sobie wierszy Lechonia pozostało aż do wyjazdu Jastruna z Krakowa. Potem już życie nas rozdzieliło i rzadko krzyżowały się nasze drogi.

A Lechoń siedział we mnie nadal i podczas mych lat uniwersyteckich i gdy wyjechałem z kraju, byłem przez kilka lat korespondentem pism krajowych w Paryżu. Jednym z mych tematów stała się nieudolność naszej propagandy kulturalnej we Francji, pisałem o tej nieudolności, wręcz szkodliwości, wielokrotnie. Jeden z mych artykułów, zamieszczony w „Głosie Literackim” w Warszawie, wywołał spore echo, przedrukowało go wiele pism, stał się tematem interpelacji poselskiej. Stanowisko radcy propagandy w naszej ambasadzie zachwiało się poważnie, mimo silnych „pleców” musiał odejść ów szkodnik czy niedbalec i jak grom uderzyła we mnie wiadomość, że na jego miejsce przychodzi... Jan Lechoń!

Szykowałem się na jego powitanie, na powiedzenie mu, że był dla mnie symbolem poezji w mej młodości, na powiedzenie mu jego wierszy, które tkwiły we mnie i umiałem je wtedy wszystkie, do dziś zresztą wiele z nich jeszcze dobrze pamiętam. Bywałem, jako korespondent prasy polskiej, w naszej ambasadzie, znałem prywatnie ambasadora Chłapowskiego i wielu urzędników i ambasady i konsulatu — progi naszych przedstawicielstw były mi znane i znajome — gdy więc Lechoń już zażądował się w swym gabinecie, zapukałem do drzwi.

Przedstawiłem się, ale nie zdołałem nic powiedzieć ukochanemu poecie. Przyjął mnie wyniosły, suchy urzędnik, dygnitarz oschły i nieobecny, cedzący zdawkowe słówka. Nie zapytał mnie o nic, nie nawiązał do mej akcji w sprawie nieudolności naszej propagandy, a przecież musiał o niej wiedzieć; było tak, jakbym spadł z księżycy do jego surowego gabinetu, albo jakby on spadł z księżycy. Rozmowa trwała dwie, trzy minuty, wyszedłem, nie, uciekłem po prostu. Runął mi, spadł z cokołu pomnik, marzenia, wyobrażenia, uczucia utonęły w karykaturze śmiesznego spotkania z oficjalnym przedstawicielem ambasady.

Potem, w wielomiesięcznych odstępach, kilka razy spotkałem jeszcze Lechonia na jakichś przyjęciach w ambasadzie, na jakichś polskich wernisażach. Miałem okazję do uściśnięcia jego ręki, do zamienienia paru oficjalnych słów, nigdy z jego strony nie padło najmniejsze zachęcenie do podjęcia dłuższej rozmowy, do jakiegoś spotkania mniej oficjalnego. Był zawsze obcym dygnitarzem.

I teraz, gdy wraca wspomnienie Lechonia, gdy wracam do jego wierszy, tych dawnych, umiarych na pamięć i tych potem pisanych, do jego listów, zdradzających rozpacz i zagubienie, gdy wyobrażam go sobie, jak jedzie winda w nowojorskim wysokociśnieniu, jak staje w otwartym oknie drapacza chmur i patrzy w przepaść swej śmierci, nie może opędzić się myśli: a może w tym nowojorskim nieporozumieniu była moja wina? Może trzeba było usłować, starać się, natchnąć pana radcę kulturalnego, na siłę wpakować go w jego oschłość i dygnitarstwo ciepłym wspomnieniem o choćby tego głupiego, sztabackiego wierszyku z „Głosu Narodu”... Może miałbym, o Janie Lechoni, cieplejsze wspomnienie — nie tylko poety, ale też człowieka? Człowieka, który jakże rozpaczliwie musiał przecieć, że „śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci”.

Witold Zechenter

Kamena str. 10

Gdzie stanie pomnik Wyspiańskiego?

Brunon Rajca

NAJWIĘKSZY polski dramaturg — twórca „Wesela”, „Wyzwolenia”, „Nocy listopadowej”, „Warszawianki”, „Kłątwy”, „Sędziów” — Stanisław Wyspiański (1869—1907) związał swoje losy z Krakowem i tu legenda o nim jest najżywsza. Trudno wprost uwierzyć, że Kraków s w e m u poecie i malarzowi nie wznosił dotąd pomnika godnego i trwałego, bo fakt, że Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego nosi imię Stanisława Wyspiańskiego nie wszystkich musi jeszcze satysfakcjonować.

Nó, ale możemy już o tym mówić w czasie przeszłym. Niedawno powstał Komitet Budowy Pomnika Stanisława Wyspiańskiego i w krakowską nudę wkroczyło ożywienie. Na łamach miejscowych gazet rozgorzała dyskusja: gdzie ma stanąć ów pomnik? Kłócono się i spierano — wiele listów drukowała „Gazeta Południowa” i „Dziennik Polski”, chyba też „Echo Krakowa”, ale ja akurat nie czytałem tego pisma, gdyż przeznaczone jest raczej dla intelektualistów. Mogliśmy się jeszcze raz przekonać, że ludzie — kiedy idzie o sprawę bliskie sercu — nie są obojętni, a tym bardziej sfrustrowani. Namiętna i pasjonująca to była dyskusja. Najwięcej ludzi opowiadało się za usytuowaniem pomnika nie opodal Wawelskiego Wzgórza — na promenadzie nad Wisłą. Koncepcja ta miała swoje uzasadnienie, gdyż właśnie Królewski Zamek był wielokrotnie natchnieniem dla twórcy narodowych dramatów. Tam, w Katedrze Wawelskiej, znajdują się też jego witraże i polichromie.

Tylko na dobrą sprawę nie ma właściwie w Krakowie miejsca, które by nie przypominało, nie wiązało się z życiorysem artysty. Nie bez racji więc był zespół Teatru im. J. Słowackiego, by pomnik akurat wyrósł naprzeciwko ich sceny — na Placu św. Ducha. To przecież ten teatr Stanisław Wyspiański uczynił bohaterem „Wyzwolenia”, to przecież na tej scenie odbywały się prapremiery jego sztuk. Komitet Budowy zdecydował zlokalizować pomnik Stanisława Wyspiańskiego na Placu Szczepiańskim, akurat naprzeciwko Teatru Starego i Pałacu Sztuki. Nikt nie polemizował, bo decyzja jest ostateczna. Tylko karykaturzysta „Życia Literackiego”, Tadeusz Łakomski, zatelefonował do mnie z knajpy „Bar Krakowski”, domagając się, bym wspólnie z nim zaczął demonstrować przeciwko tej decyzji. Twierdzi Łakomski, że naprzeciwko Pałacu Sztuki — w zieleni Plant — znajduje się popiersie Stanisława Wyspiańskiego, ale postument jest nie podpisany, więc gremium rozstrzygające nie mogło się domyślić czyja to twarz. Nie wiem, ale Łakomskiemu wierzę. Monument ma być wzniesiony do roku 1980 i kto jeszcze ma zamiar przyjechać do Krakowa z wycieczką autobusem, niech spieszy czym prędzej, bo już niedługo — po likwidacji jedyne parkingu na Placu Szczepiańskim — trzeba będzie do śródmieścia truchać pieszo. Koszta budowy pomnika pod Wawelem byłyby ogromne, gdyż pomnik ze względu na naturalne otoczenie też musiałby być wielgachny. Tak czy inaczej nie tylko Adam Mickiewicz, ale również Stanisław Wyspiański popatrzy na nas z wysoka.

Tymczasem teatr im. J. Słowackiego — po pół wieku — odważył się wystawić „Akropolis” w reżyserii Krystyny Skuszanki. Nie lada wydarzenie, bo to dzieło Stanisława Wyspiańskiego jest wyjątkowo trudne w scenicznej realizacji i niejedyn reżyserichórzył przed kuszącym przedsięwzięciem. Trzeba powiedzieć, że mimo takich czy innych utyskiwań krytyków Krystyna Skuszanka odniosła zasłużony sukces, pokazując ten teatr ogromny. Francuski uczyony, prof. Fernand Baldensperger, po obejrzeniu „Akropolis” w 1926 r. w Krakowie tak zafascynował się dziełem, że w ankiecie „Nouvelles Litteraires” wymienił Stanisława Wyspiańskiego pośród dziesięciu najwybitniejszych nazwisk pierwszego pięćdziesięciolecia naszego wieku. Twierdził, że nie znajduje w literaturze świata utworu, z którym mógłby się ten równać. Może to opinia przesadna, ale „Akropolis” jest dziełem wielkim. Kto wie, czy nie bardziej nadającym się — poprzez mnogość wątków, metafor i wizji — na film niż na scenę?

Nie tylko dzięki realizacji „Akropolis” najlepszą obecnie sceną w Krakowie jest Teatr im. J. Słowackiego, kierowany przez Krystynę Skuszanek i Jerzego Krasowskiego. Tak przynajmniej wynikałoby z ambitnego repertuaru, w którym znajduje się i „Mazepa” J. Słowackiego, i „Hamlet 70” B. Drozdowskiego, i „Po ludziach błądzą” M. Cwietajewej.

Na pewno innego zdania jest dyr. Jan Paweł Gawlik prowadzący — mimo rozlicznych obowiązków w Telewizji Polskiej — Teatr Stary okrzyczany najwybitniejszą sceną w kraju. To było dawno i prawda, bo żył Konrad Swinarski. Teraz Jan Paweł Gawlik — dopóki nie wystawi swojej sztuki pt. „Egzamin” — przegrywa jednak w konkurencji ze Stanisławem Wyspiańskim.

WIERSE MŁODYCH

Franciszek Kamecki

Paweł Kubiak

PSALM INWALIDY

*Zęby stracił kiedy na kolację
przyniesiono potowę świata
przyrządzonego kulturą i sztuką*

*Nie pytaj Panie o nogi
które zabrała śmierć
w czasie przejazdu pociągu pospiesznego*

*Nie pamiętaj samotności
która skończyła się z powodu
przeludnienia naszej planety*

*Nie czekaj na głęboki i dźwięczny oddech
skoro w zatrutym środowisku
płuca nasze zmniejszyły wydajność*

*Panie przyjmij kalectwo
nasz obraz ślepy głuchy i łysy*

Jan Pern

Henryk Makarski

LIST DO WŁASNEGO SUMIENIA

*te dni jeszcze dręą
jeszcze snujemy się
po trawie minut
plączemy się
wśród konarów dni
jeszcze się żegnamy*

*te dni jeszcze dręą
i ty
brzemienna poculunkiem
jak las wilgocią
jeszcze tańczysz białego walcia
na brzegu lampki wina*

Agnieszka

*Patrz, tam na lawce
placze stary człowiek,
pewnie zabrali mu jego
duże, niezgrabne zabawki,
a może zapomniał wielkiej,
dorosłej tabliczki mnożenia?*

*Dorośli mają dorosłe
tabliczki mnożenia, mają
domy, fontanny, samochody,
czasem ktoś je zabiera,
brudzi albo kaleczy
i wtedy płaczą,
tupią bezradnie nogami.*

*kochani rodzice — do was piszę inny dziwny list
przyjeżdżam w sobotę pomóc w polu
wygładzić zmarszczone waszych dni
w wyschniętych oczach żyto mokre stoi
a my jak ordery na waszej pierści
najdłuższa noc czarną suknię nakłada
za zimną rzeką waszych dobrych chęci
przyjeżdżam na pewno — póki jeszcze słońce
i nie trzeba klękać przed krzyżem ram
okiennych*



Telegram

redakcja „studenta”
kraków
do waszego „ucha” dodajemy na stałe „nos” — stop — jeśli inne redakcje pójdą za tym przykładem może uda się skompletować całą głowę — stop — z wapniackim pozdrowieniem „kamena”

OT CO!

- ! Nie odkładaj życia na czarną godzinę!
Jan Górczyński
- ! Nie uaktywniaj bierności!
Robert Karpacz
- ! Nie przypinaj orderów po ojcu!
Józef Witkowski

RATUNEK

Niejedną naukową sesję uratowały dygresje.
Stanisław Nastaj

Informacje z pierwszej ręki

Inżynier Jan Wiesiołek z filii zakładów Kaspzaka w Lubartowie skonstruował przystawkę do czarno-białego telewizora. Umożliwia ona oglądanie programów w kolorze. W tej chwili przystawka przechodzi serię prób. Jeden egzemplarz otrzymało — celem wydatnia opinii — Lubelskie Wydawnictwo Prasowe (Jasna 8). Zainteresowani powinni skontaktować się z dyr. Antonim Obłozą, tel. 219-74.

Ludowy Zespół Pieśni i Tańca UMCS w czasie pobytu w Turcji otrzymał — jak informowała prasa — złotą statuetkę. Ostatnio figurka ta zginęła w tajemniczych okolicznościach. Uczelnie znalazca proszony jest o skontaktowanie się z red. Januszem Jurkowskim (tel. 256-46), rzecznikiem prasowym zespołu.

Redakcja „Nosa” dowiedziała się z autorytatywnych źródeł, że wielu młodych literatów lubelskich otrzymało stypendia twórcze. Stypendia wystarczą na penetrację województwa i miasta, ale gdyby jednak udało się je skomasować w jednym reku (czytaj: piórze) można by wysłać kogoś do Hajadaru lub Liny. Warto o tym pomyśleć, bo Ryszard Kapuściński też zaczynał od poezji, nie dzisiaj niechętnie się do tego przyznaje.

„Byłem elementem stawardesy” — pod takim tytułem drukuje swe wspominki w „Kurierze Polskim” Juliusz Smoczyński, któremu w realizacji tego zamiaru pomógł Zbigniew Dąbkowski, dyrektor „Lotu”. Oczywiście red. Smoczyński w charakterze elementu wystąpił na liniach zamierzeniach. Podobnie w najbliższym czasie pomysł ten ma zamierzać skopiować red. Wojciech Kraw-

Paweł Gembal

ZAMIGOTAŁO WE MNIE MAGICZNE ZIELONE OKO

- do — powracających z dalekich krain rozkoszy miłosnych
- idących krokiem przewidującym trzęsienie ziemi lub co najmniej potknięcie na prostej drodze
- kołyszących się na falach wyobrażeń własnego szczęścia

— SZUKAJCIE

W SOBIE SPADKOBIERCY POCZUCIA NATURY ZAGINIONEGO... PRZYPUSZCZALNIE UKRYWA SIĘ... NA PODSTAWIE INFORMACJI UDZIELONYCH...

- do — drzemiących w fotelach i ani przez chwilę nie myślących o ich społecznym znaczeniu
- matek pełnych miłością do synów
- kolporterów gazet codziennych
- ludzi ze zmaczonym rozumem
- z judaszowymi srebrnikami w dłoni
- zależnych od zasiłków z Opieki Społecznej

— SZUKAJCIE

W SOBIE...

- do — ludzi wypowiadających obiegowe pojęcia o wszechświecie
- do wszystkich

— SZUKAJCIE

— zamigotało we mnie magiczne zielone oko —



Latający kłakier
Rysz. W. Jęglewicz

Obwieś!

Horoskopy peruwiańskie na kwiecień

Redakcja „Nosa” na ogólne życzenie wprowadza uproszczone horoskopy peruwiańskie. Oto co może czekać ludzi urodzonych w miesiącach:

I. STYCZEŃ, GRUDZIEŃ

Kwiecień będzie bardzo dobrym miesiącem. Nowa miłość już puka do drzwi, otwórz je jak najszerszej, bo to właśnie może być miłość twego życia. W pracy — możliwość awansu pod warunkiem jednak, że przestaniesz rozrabiać po kątlach. Płotki też mają granicę!

II. LUTY, LISTOPAD

Sprawy nie ułożą się pomyślnie. Sześć od dłuższego czasu patrzy na ciebie krzywym okiem, zaległości rosną, a tobie tylko fiu-fiu w głowie. W domu też się wszystko zaczyna psuć, nie spełniasz podstawowych obowiązków małżeńskich. Eksport uczuć — można to zrozumieć, ale rynek wewnętrzny ma swoje prawa!

III. MARZEC, PAŹDZIERNIK

Jeśli poważnie myślisz o tym urlopie i o wyjeździe w ciepłe kraje, weź się wreszcie do roboty! Na pożyczkę nie masz co tak zbyt liczyć, zwłaszcza że poprzednia jeszcze nie spłacona. Zyszesz z dnia na dzień. Jak długo tak można? Pewien kwietniowy wieczór zapamiętasz szczególnie, ale więcej będzie z tego kłopotów niż radości.

IV. KWIECIEŃ, WRZESIEŃ

Jesteś niepoprawny! Czego ty szukasz na tym świecie. Kochana istota jest przy tobie, a ty się oglądasz za lichy wie czym. Cierpliwość drugiej strony już się zaczyna wyczerpywać, bo te twoje zdrady mogą doprowadzić do szewskiej pasji. Jeśli wybuch nastąpi już w kwietniu — tylko do siebie miej pretensje.

V. MAJ, SIERPIEŃ

Ta forsą przyszła prawie niepożądanie, ale to wcale nie znaczy, że masz nią szastać na prawo i na lewo. Odrobina zdrowego rozsądku nie zaszkodzi. Słuchaj dobrych rad, bo nie wszyscy wokół ciebie tylko szczerzą kły. A przyjaciół nie zawsze poznaje się jedynie w biedzie.

VI. CZERWIEC, LIPIEC

Nareszcie zmadrzałeś, ale na jak długo? Ten sukces nie przyszedł łatwo, masz jednak satysfakcję, że od nikogo nie potrzebowałeś poparcia i pomocy. Co będzie dalej? Wszystko w twoich rękach. Koniec kwietnia przyniesie ci dużo radości, choć kwartowanie ze szczęścia na razie ci nie grozi.

Katar

Agencja CZUBEK czyli
Cały Zespół Uważa By Elegancko Kokietować

Ogłoszenia towarzyskie

MAM LAT 42, tolerancyjną żonę, 126 p, sporo wolnego czasu. Chętnie poznam panią do lat 56 szczupłą lub otyłą, blondynkę, szatynkę lub brunetkę z wyższym wykształceniem lub z podstawowym, posiadającą willę lub M-1. Oferty pod nr 1, Lublin, skr. poczt. 231.

wspólna kontemplacja, głośne czytanie wierszy młodych poetów, sadzama nad światem, w którym żyjemy. Tylko poważne oferty pod nr 2, Lublin, skr. poczt. 231.

DWIE STUDENTKI lubiące wspinaczkę wysokogórską, mające dobre znajomości w Polmozbycie poszukują dwóch panów z samochodami (może być jeden samochód) do lat 40 nieco powyżej. Możliwość wspólnego wyjazdu do Grecji lub do Głuska. Oferty pod nr 3, Lublin, skr. poczt. 231.

INŻYNIER w średnim wieku, typ urbanowski, o przedwojennych manierach, chłodny, ale odcielający się w miarę bliźszego poznania, nawiaże korespondencje z panną, rozwódka lub z wdową. Błędy ortograficzne tolerowane. Oferty pod nr 4, Lublin, skr. poczt. 231.

DZIENNIKARZ, wykształcenie ponadpodstawowe, umiający lubiący pisać na każdy temat, porno dwie panie, gotowe na wszystko. Oferty w miarę poważne pod nr 5, Lublin, skr. poczt. 231.

MŁODY MALARZ i młody poeta poszukują modelek o zrównoważonym charakterze kształtach. Wykształcenie obo-

jętne, niepalące mają pierwszeństwo. Oferty pod nr 6, Lublin, skr. poczt. 231.

KTÓRA Z PAR mająca duże poczucie humoru i powagi poszukuje niefrasobliwego urzędnika o przeciętnych poborach, ale nieprzeciętnej urodzie? Urzędnik ów chciałby po ośmiogodzinnym teglowaniu wśród stert papieru dobrać do spokojnego portu. Oferty pod nr 7, Lublin, skr. poczt. 231.

KOBIETA o szlachetnym sercu, wzbudzająca w wiek balzakowski w współczesnych poetach, samotna, szuka bratniej duszy na lesień życia. Zonaci i rozwiedzeni niewykluczeni. Oferty pod nr 8, Lublin, skr. poczt. 231.

FELNA DYSKREKCAJA! Pan pod pięćdziesiątkę, studia wyższe w młodym wieku, matura prawie przedwojenna, chce znaleźć odpowiedniego do życia i w przyszłości wspólnego oglądanie nie tylko znaczków pocztowych! Oferty, możliwe że sędziem (zwrot gwarantowany) pod nr 9, Lublin, skr. poczt. 231.

SAMOTNA z małego miasteczka pragnie coś lepszego w życiu doświadczyć, i niekorpulancyjnym mieszkaniem, kuchnią z wiewiórką i ptaki, nieszczupłą i nieczystą niemądra i nieśmiała, poszukuje pan o nieskarżliwych manierach pracujący, w miarę nielitościwy, dysponujący od czasu do czasu wolną dobą. Oferty pod nr 10, Lublin, skr. poczt. 231.

7/328/2552/1878/7